





GROTTGER

<http://rcin.org.pl>



# GROTTGER

KATISALA  
MARJA GERSON-DĄBROWSKA

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PANI  
BIBLIOTEKA  
28-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-63-63

NAKLĄDEM KSIĘGARNI LUDOWEJ  
WARSZAWA — 79:8 — UL. WARECZA 26 14



# GROTTGER

Czy znacie te ganki na białych słupkach, w których gospodarze, wydziały, miłośnicy, wspaniałe dostrzeżenie jednostki, białego aerogramu?

Czy znacie ten dźwięk w wiejskiej, klasycznej dziedzi lub w wycie, gęsty?

*On ten dźwięk, jak on ten dźwięk, jak on ten dźwięk*

*Doświadczenie, a nie ten dźwięk, jak on ten dźwięk*

**NAPISAŁA**  
**MARJA GERSON-DĄBROWSKA**

Ten dźwięk na wól zapadł, czasem cichy, samotny, czasem gwałtowny, rozłamany, pełen bujnego śmiechu i wesoła, odgłosów trzaski myśliwskich, czasem śmiały i upadła, powołała się?

Czy znacie

W jednym z

Ugostawień,

wydziału polskich.

**INSTYTUT**  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
**BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

„Bastowa” Jakiś dzień, poeta Artur Grottger? gdzie dzieła jego? gdzie książki, które napisał?

„Dziś nie. Nie słowem mówić do swego parady ten wielki wiersz poeta, nie forma, obracając, całym szeregiem słów stworzonych, jak mozonie poezji, gwałtownych i bolesnych, jak wiersz i białe pełny bywało duszą polską. Był wierszem,

**NAKŁADEM „KSIĘGARNI LUDOWEJ”**  
**WARSZAWA — 1918 — UL. WARECKA № 14**

# GROTTGER



*Odbito w Roczn. Wł. Łazarzkiego.  
Klisse wykonano w Zakładach ar-  
tystycznych „Helios“.*

23.254

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deut.  
Presseabteilung. Warschau, den 28/XI 1917. T. № 8218. Dr. № 731.





TO z was zna te dwory wiejskie, dawniej gęsto po ziemiach polskich rozsiane, dziś—jak ludzie, starzejący się i schorowani, wymierające powoli? Czy znacie te ganki na białych słupkach, te dachy gontowe, wysokie, strzeliste, smagane deszczem jesiennym, bielone szronem?

Czy znacie ten dwór w wieńcu wiosennej zieleni lub wówczas, gdy:

*.....twarzy zupełnie odmienił  
Ów las topoli; już się więcej nie zielenił.  
Dziedziniec, gdzie bławatki, cykorje i maki  
Barwiły się, jak szalów indjańskich szlaki...  
Teraz biały, wczorajszą zasuty zawieją,  
A na nim ścieżki, świeżo deptane, czernieją...“*

Ten dwór na wsi zapadłej, czasem cichy, zadumany, czasem gwarny, roześmiany, pełen bujnego śmiechu i wesela, odgłosów trąbek myśliwskich, rżenia koni i ujadania psów gończych?

Czy znacie dwór taki?

W jednym z takich dworów w Galicji wschodniej, we wsi Ottyniowice, przyszedł na świat w r. 1837, jeden z największych poetów polskich.

Poetów? Jakież poezje pisał Artur Grottger? gdzie dzieła jego? gdzie książki, które napisał?

Otóż nie. Nie słowem mówił do swego narodu ten wielki nasz poeta, ale formą, obrazem, całym szeregiem obrazów cudnych, jak marzenie poety, smutnych i bolesnych, jak smutną i bólu pełną bywała dusza polska. Był malarzem, poetą z Bożej łaski, z dziedzictwa, ze swego otoczenia, które mówiło do niego każdym świeżo rozkwitłym kwiatem, każ-

dym promieniem słońca, którego mu nie skradły zimne i martwe mury miejskie.

Artur Grottger był synem pierworodnym Józefa Grottgera, który dobra ottyniowickie w dzierzawie miał. Matka, Krystyna Blaháo de Chodietow, pochodziła ze spolszczonej węgierskiej rodziny. U kołyski dziecięcia jawiła się wąsata, marsowa twarz ojca, słodka twarz matki, klasycznie piękne postacie trzech ciotek. Wzrastał w otoczeniu cudnej wsi i zacnej rodziny, jasne i piękne było dzieciństwo Artura.

Rozproszone dziś po świecie istnieją portrety i obrazy, noszące podpis — Józef Grottger. Istotnie autorem ich jest ojciec Artura, który w młodości poświęcał się studjom malarzkim, zdradzając w tym kierunku pewne zdolności. Późniejsza praca na roli odrywa p. Józefa od pędzla i palety, ale pozostaje na zawsze znawstwo i zamiłowanie, które przelewa w swego pierworodnego.

Praca troskliwego ojca nie idzie oporem. Mały Artur rwie się do ołówka i pędzla, a modeli mu nie brak. Koń, krowa, pies, kawałek płota, najtrudniejsza wreszcie ze wszystkiego — postać i głowa ludzka, wszystko było dobre, wszystko służyło za wzór małemu rysownikowi. A w tych chwilach pracy czuwa nad nim wyrobione oko ojca, kieruje umiejętna ręka, a usta powtarzają słowa zachęty.

Te chwile, te dobre słowa zachęty miały mu starczyć na długie, długie lata, na ciężkie chwile niepowodzeń i zawodów.

Wzrastał mały Artur, a bujną jego wyobraźnię kołysały opowieści bojowe. W długie wieczory jesienne i zimowe, gdy:

„Noc była wietrzna, śnieżna, a wichry śpiewały  
W kominach swoje zwykłe, płaczące chorały...”

snuły się bez końca opowieści z życia obozowego, wspomnienia niedawnej rewolucji, w której pan Józef, gorący patrijota, czynny brał udział. Bojownik o wolność swego narodu budzi w sercu syna te same ideały, które, rzuciwszy ojca w służbę ojczyzny na plac boju, syna pchnęły na drogę tejże samej służby, którą pełnił nie z szablą, lecz z pędzlem i ołówkiem w ręku.

— Ano, Arturku, możebyś ty to wyrysował, coś słyszał ode mnie — zachęcał ojciec. A chłopiec chwycił za ołówek i sypały się szkice za szkicami, sceny za scenami, pełne ruchu, werwy i charakteru.

Genjalne dziesięcioletnie dziecko rysuje dramatyczną scenę, przedstawiającą egzekucję, dokonywaną na szpiegu rosyjskim przez polskich ułanów. A potem szereg obrazków rzeczy widzianych i niewidzianych: oto wyjazd na polowanie, ekwipaż zaprzężony w czwórkę, konie w galopie, utarczka wojsk polskich z tatarami. Dużo, dużo tych prac dziecięcych, gdzie treścią są sceny żywe, tłumne, gdzie koń, walka, ruch, stanowią oś obrazu.

I nic tedy dziwnego, iż gdy w czternastym roku życia został młodzieńcy Artur wysłany do Lwowa dla dalszego kształcenia, a przypadek zetknął go z Juljuszem Kossakiem, znakomitym malarzem koni i scen wojennych, nic dziwnego, iż znajomość ta i rady starszego kolegi tembardziej rozpały wyobraźnię chłopca i utrwaliły w obranym kierunku.

W tym to roku 1851 na wiosnę w sklepie Jürgensa we Lwowie wystawiono w oknie obrazek niewielki, malowany olejno, a przedstawiający pogoń szlachty polskiej za tatarami w chwili, gdy najeźdźcy, złupiwszy kościół, uchodzą ze swą zdobyczą. Traf chciał, iż przed wystawą zatrzymał się

major wojsk austrijackich, potomek możnej bawarskiej rodziny, hrabia Aleksander Pappenheim.

„Spostrzegłem w wystawie obraz, — pisze Pappenheim — który mnie uderzył śmiałą, prawie genialną kompozycją, życiem i prawdą, jakimi tchnęły liczne, umieszczone na nim figury ludzi i koni, wreszcie silną i żywą barwą...”

Zachwyty magnata bawarskiego ujawnia się w czynie. Nabywa obrazek, zapytując zarazem ciekawie o autora, i dowiaduje się ze zdumieniem, że jest nim czternastoletni zaledwie chłopczyzna. I tu następuje ważny zwrot w życiu Grottgera. Pappenheim odkrywa w Grottgerze „tak bogato uposażoną, tak na wskroś poetyczną naturę”, że postanawia „przyciągnąć go do siebie i o ile możności stać mu się użytecznym”. I w istocie w osobie hrabiego znajduje młodzianki artysta opiekuna i całym sercem oddanego sobie przyjaciela.

Widzimy tedy Artura z nieodstępnym albumem w rękę, towarzyszącego majorowi w jego samotnych przechadzkach, spędzającego czas na długich rozmowach ze starszym znacznie przyjacielem, który w tych pogawędkach z utalentowanym młodzieniaszkiem szczególną znajdował przyjemność. Widzimy go kiedyindziej w ujeżdżalni, gdzie życzliwy opiekun uczy go jeździć konno, co dla młodego amatora koni niemal stanowi przyjemność, zapoznając zarazem z koniem, którego tak często w obrazkach swoich umieszczał.

Wtedy to, podczas jednej z wycieczek konnych w okolicy Lwowa, pełne jarów i parowów, dwaj jeźdźcy stanęli u skraju stromej skały, u głębokiego parowu. Jadą wzdłuż jego brzegu, gdy nagle „stroma urwisko zatamowało nasz pochód — pisze Pappenheim. — Niepodobna było zawrócić

konia na stromej skale; nie mając więc wyboru należało skoczyć z jednej strony na drugą". Zakłopotani zatrzymują się, rozważając, co dalej czynić; lecz „widocznem było, że tylko ów śmiały i zdeterminowany skok zdoła nas wyprowadzić z kłopotu—pisze dalej hrabia.—Zapytałem Grotgera, czy nie brak mu na to odwagi? a gdy odparł, że nie czuje trwogi, skoczyłem naprzód, pouczyłem go, jak się ma zachować w stanowczej chwili i wstrzymałem oddech, oczekując z najwyższym niepokojem, co się stanie? Drżałem z obawy o niego, myśląc, jak byłbym nieszczęśliwym, gdyby upadł i złamał rękę lub nogę. Odetchnąłem dopiero z głębi piersi, widząc, że rumak olbrzymim skokiem osiągnął bardzo szczęśliwie przeciwną stronę skały, a młody jeździec siedział w siodle spokojnie i lekko, jakby mu przed chwilą nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo“.

Chwila ta sprawiła jednak na Grotgerze tak silne wrażenie i tak żywo utkwiała mu w pamięci, że po wielu latach wymalował akwarellę<sup>1)</sup>, przedstawiającą Czerkiesia, który skacze przez taką samą przepaść.

Wszystko, wszystko, co przeżywał niezwykle ten artysta, było mu natchnieniem i podniętą do pracy. Bóle swoje, zachwyty, miłości, wzruszenia — zaklinał w kształt widomy, rzucał na papier, jako szkic, notatkę lub skończony obrazek.

Minęła wiosna i lato. W październiku tego samego roku Lwów święci uroczystość niezwykłą. Oto odbywa się wjazd młodego cesarza Franciszka Józefa.

Miasto przybrało odświętny wygląd. Powiewają sztanda-

---

<sup>1)</sup> Malowanie wodnemi farbami.

ry, pstrzą się i barwią kobierce, strojące okna domów: brama tryumfalna oczekuje wjazdu monarchy; na ulicach tłupy, w oknach głowa przy głowie. A w jednym z okien, wychodzących na rynek, stoi młody chłopczyzna i z pośpiechem i nateżeniem zarazem szkicuje barwny obraz. Oto wjazd się rozpoczął, oto:— cesarz konno, duchowieństwo, dygnitarze, wojsko, straż honorowe. Oto strzelają ponad głowy tłumu wysokie proporce, strojne w kwiaty i furkoczące z wiatrem chorągiewki; powiewają sztandary cechowe, przeciągają oddziały wojska na dzielnych koniach...

Oczy chłopca chłoną ten obraz, pełen barw i ruchu, a ręka ze zdumiewającą szybkością rzuca na papier zarysy ludzi, koni, całego tłumu widzów. Rozkosz to dla niego taki obraz odtwarzać, ale obok tego i obowiązek do spełnienia. Ta praca ma mu zapewnić przyszłość. Chodzi o to, żeby zainteresować cesarza osobą młodego chłopca i wyjednać mu zasiłek na dalsze kształcenie. W jeden dzień z pośpiesznego szkicu wykonywa Artur akwarellę dużą, dopełniając pamięcią, czego naszkicować nie zdążył. Akwarellę zawieszono w pałacu hr. Zabielskiego, gdzie cesarz zatrzymał się, wyjechawszy ze Lwowa, a udając się na Bukowinę.

I znów, jak niedawno Pappenheim, cesarz ze zdumieniem dowiaduje się, iż autorem obrazu jest czternastoletnie dziecko prawie. Wzruszony Artur zostaje przedstawiony cesarzowi, który przybiecjuje mu zasiłek na dalsze kształcenie w sztuce. 20 florenów<sup>1)</sup> miesięcznie ma chłopiec zapewnione i warunek, aby się udał do Krakowa do szkoły Sztuk Pięknych, a potem do Wiednia.

---

<sup>1)</sup> Około 100 zł. polskich.

Tu kończy się pierwszy okres życia Grottgera, kończy się to słodkie dzieciństwo, a zaczyna okres młodości.

Zanim jednak uda się do Krakowa, spędza jeszcze kilka miesięcy w Zagórzanach, w pięknej, górzystej okolicy, w gościnnym domu p. Skrzyńskich. Stąd pisuje listy do rodziców, przejęte głęboką miłością, czcią i dziecięcą prostotą.

„Z bólem serca powiedzieć wam muszę, że tego roku niestety, oko moje nie będzie was oglądać, usta moje nie wpiją się w najdroższe na świecie, ucho nie usłyszy pieśzczoł rodzicielskich. Nie ucałuję Olesia, Jarusi i Muni. Ależ skoro przyjadę, to będę tak całował, ścisnął, cieszył się, że aż zachoruję!“

„Bądź mi zdrow i wesół,—pisze znów p. Józef do syna— a nie trać czasu“.

A syn też nie próżnuje. Z czasu pobytu w Zagórzanach datuje się cały szereg szkiców, widoków zamków, krajobrazów, typów góralskich. Pracuje, jak tylko może najlepiej, wpatruje się w one bory świerkowe, pola omglone, twarze ludu naszego — czasem zadumane, czasem rzeźkie i chwackie. Patrzy na tę swoją ziemię oczyma poety, uczy się ją kochać i odczytywać te „głoski, pełne miłości, któremi rodzinną stroną do swojej dziatwy przemawia“.

Stary Kraków otwarł wrota swoje przed młodzieńskim artystą.

Dziecko prawie wstępuje do szkoły Sztuk Pięknych jako jeden z jej uczniów. Dyrektorem szkoły wówczas był niemłody już Stattler, człowiek wielkich dla sztuki zasług, ale

wówczas już zgorzkniały, surowy, zasklepiiony w swoim sposobie pojmowania sztuki; niechętnem okiem patrzył na wszystko, co nowe, świeże, co tchnęło życiem i młodością.

A i wzorować się nie było na czem. Sztuka polska dopiero żyć zaczynała. Starszy od Grottgera Rodakowski zaledwie zaczął pracę samodzielną, Kossak i Gerson uczą się jeszcze w akademjach zagranicznych, Matejko był rówieśnikiem Grottgera; tak samo Andriolli i Kotsis. A tylu, tylu innych, których dzieła dziś podziwiamy, o których słyszymy, nie wyszli jeszcze z dzieciństwa. Jasnem też jest, iż droga, którą szedł młody Artur, uciążliwą była i trudną; wszystko samemu zdobywać, wszystko odgadywać, dróg najlepszych szukać samemu.

A Grottgerowi głowa się paliła i paliły oczy do wszystkiego, co piękne, co tylko w obraz ująć było można. Niechętnie zasiadał do ulubionych przez dyrektora „martwych natur“ — rozbitych garnków i jajek, sztucznie na drewnianych figurach rozpiętych draperji. Pracował jednak usilnie, bo była w nim ta zawziętość pracy, która wszelkie talenta na wyżyny dźwiga; była w nim ta skromność wielka, która kazała mu najsurowiej oceniać swoją pracę i zawsze wątpić o jej wartości.

Cieszy się też jak dziecię każdym powodzeniem.

„Pan Łuszczkiewicz, mój profesor, jest bardzo grzeczny dla mnie i zadowolony“—pisze do rodziców i przytacza dalej słowa profesora: „idź tak dalej, a zajdziesz daleko“.

Jakże proroczymi były te wyrazy! Nie wbijają go jednak w dumę.

Gdy ojciec prof. Łuszczkiewicza zażądał od niego przery-





„WARSZAWA” TRZY STANY.



sowania hetmana na koniu, według rysunku Orłowskiego, jednego z dawniejszych malarzy polskich:

— Prawda, że ty to zrobisz lepiej?—zagadnął chłopca.

— Nie wiem — odpowiada skromnie młodzieńcy artysta.

Ta wieczna niepewność, wieczne powątpiewanie w swoje siły—to cecha prawdziwie wielkich talentów i wielkich dusz. Wieczne dążenie do szczytów i niepewność, czy się ich doścignie i tęsknota za tem niedościgłem.

„Rysuję, a raczej maluję teraz Czerkiesia z dwoma schwytanymi jeńcami rosyjskimi“—pisze dalej. Marzenia i wspomnienia dziecięce, bojowe gawędy ojca — panują jeszcze wszechwładnie w chłopięcej duszy Grottgera. Szlachetne walki Czerkiesów z Rosją w obronie swojego kraju podniecały wyobraźnię chłopca i kazały mu niejednokrotnie odtworzać trochę dzikie postacie walecznego plemienia.

Szkoła jednak, a zwłaszcza jej system, znużył prędko młodego zapaleńca. Nie dość mu jaj rozbitych i starych skorup, on pragnie życia, ruchu, słońca! Związany wtedy węzłami przyjaźni z kolegą Andrzejem Grabowskim, wybiega z nim razem po za mury Krakowa, na Błonia, pod romantyczny klasztor zwierzyniecki i tam malują, rysują, co im w oczy wpadnie. Pochyla wierzba, kawał starego muru, koń, człowiek — wszystko ciągnie ich oczy i raduje serca, bo to jest—natura, ta wielka mistrzyni, ten najdoskonalszy z nauczycieli!

Ciche, księżycowe wieczory widziały ich błędzących ręką w rękę, pełnych marzeń o sztuce i najczystszych wzruszeń, jakie daje umiłowanie piękna.

Te usiłowania i zapał odbiły się najwidoczniej na pracach obu uczniów. Wyróżnił obu młodzieńców jeden z wy-

bitnych ówczesnych malarzy warszawskich, January Suchodolski.

„Dostałem—pisze Grabowski—tego zaszczytu wraz z Grottgerem, że nam obydwom uściśnął ręce i poklepawszy po ramieniu, powiedział:

— Bardzo dobrze, tylko dalej, a z równym zamilowaniem, jak dotąd“.

Okolo tych dwóch przyjaciół grupuje się całe grono młodych; między nimi Ludwik Wodzicki, późniejszy marszałek sejmowy; Stanisław Tarnowski, późniejszy profesor i rektor wszechnicy jagiellońskiej; Jan Matejko, w tym koleżeńskim kółku poufale Matiarkiem zwany. Rej zaś wodził Zdzisław Suchodolski, syn Januarego, imponujący grupce młodych starszeństwem, pięknym wzrostem, twarzą klasyczną, pewnością siebie i fantazją młodzieńczą. Oto widzimy go w jego studenckiem mieszkanku wśród młodych towarzyszy. W kłębach tytoniowego dymu rozsiadło się młode towarzystwo. Ten rysuje na poczekaniu ucieszne postacie znanych osób; Grottger, wierny swym upodobaniom, rzuca na papier obrazy tłumnych bitw; ten śpiewa, ów deklamuje, inni rozprawiają zwawo o rzeczach sztuki i nauki. Gwar i niefrasobliwa młodzieńcza wesołość panują wszechwładnie.

A jakie tam bywały przyjęcia, jakie prawdziwie kawalerskie zastawy!

„W mniejszej połowie dość obszernego pokoju—pisze Grabowski—stół, w braku obrusa nakryty czystym prześcieradłem; na stole dominuje głowa z gipsu Apollina belwederkiego, na niej, niby woal, zarzucona chustka, udrapowana prześlicznie...“ „głowę Apollina otaczało mnóstwo cygar i tytoniu, cukier w kawałach, na jakimś rysunku rozsypany; sze-

regiem ustawione talerzyki z serem, rogalikami i szynką, a dokoła szklanki, przeznaczone na wieloraką służbę, bo do płukania pędzli przy malowaniu akwareli, do picia wody, herbaty i kawy...

Na pięć szklanek mieli dwie łyżeczki. Kto niecierpliwszy i na łyżeczkę czekać nie chciał, mieszał herbatę ołówkiem lub pędzlem. Nie brakło tam i nadłamanych krzesel, i trupiej główki, i różnych części garderoby, rozrzuconych w malowniczym nieładzie.

Bawiono się cudownie w tym studencko-artystycznym otoczeniu, ale i rozprawiano poważnie, z ogniem i zapalem; ścierały się zdania, urabiały sądy, walił stary świat, urastał nowy...

*„Dalej z posad bryło świata, nowemi cię pchniemy tory!”*

I snąc zajmujące musiały być te wieczory młodzieży, skoro odwiedzali je tacy ludzie, jak znakomici poeci polscy: Wincenty Pol i Lucjan Siemieński, jak profesor Łuszczkiewicz, który wysoko cenił i otwarcie sprzyjał tej garstce zapaleńców.

— Oto siedzicie tu i pracujecie bez rezultatów — rzekł kiedyś do uczniów szkoły Sztuk Pięknych — a tamci robią znakomite postępy.

Palily się głowy, płonęły serca.

Młodzutki Artur znajduje w tym kole koleżeńskim to, czego mu brakło w szkole; żywość jego i zapał, półdzieńca szczerość, jedna mu serca. Koło przyjaciół i znajomych zwiększa się i nieźle składa się życie pomiędzy pracą a koleżeńskimi uciechami, gdy oto spada cios niespodziewany! Ojciec ukochany, pierwszy jego przewodnik na drodze sztuki, umiera śmiercią straszną, ukąszony przez wściegłego ko-

nia. Siedemnastoletni chłopiec staje się doradcą i powiernikiem stroskanej matki, mentorem rodzeństwa, a w przyszłości, jak zobaczymy i podporą ich materjalną.

Z wiosną 1854 r. opuszcza Grottger Kraków i udaje się na kilkumiesięczny pobyt do Lwowa. Tylko kilka miesięcy! Ale krótki ten czas zaznacza się wyraźnie w życiu Artura. Jak z życiem narodów, tak samo bywa i z życiem pojedynczych ludzi, a zwłaszcza artystów. Lata przechodzą, nie dając nic, lub prawie nic, a przyjdzie parę miesięcy, tygodni, dni nawet, — tak bogatych w rezultaty, lub tak niezwykle przeżytych, iż za lata starczą.

W ciągu tych kilku miesięcy przeżywa młody artysta rozkoszne godziny, w otoczeniu rodziny, w towarzystwie: „najmilszego Papcia“, jak zwykł był poufale zwać hr. Pappenheima, w kole kolegów i znajomych. Czas ma całkowicie zapelniony, dzieląc go pomiędzy zabawę, a pilną i wyteżoną pracę artystyczną.

Jakiż był dorobek z epoki owych lwowskich wywczasów?

Oto cały szereg obrazków akwarellowych, szkiców ołówkowych, rozmaite potyczki, utarczki, Beduini, dalej — próby portretowe, między innymi: portret konny p. Turkullówny, nad którym utyskuje, iż jeszcze nigdy nic tak mi się źle nie wiodło — a w końcu wykrzykuje radośnie: „O, Boże! jakżem ja szczęśliwy, że ją podobną zrobił“.

Jak szczerze i prosto wypowiada Grottger to uczucie niepewności, przechodzenie od zwątpienia do nadziei, w chwili powstawania nowego dzieła.

Z tego też czasu zanotować należy scenkę zbiorową p. t.



„WARSZAWA” ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁOW.





„Pielgrzymka do Chodowic“. Jest to cała kompozycja, z końmi, powozem i całym towarzystwem pań i panów, w charakterystycznych, ówczesnych strojach i z postacią samego autora tej pracy w chwili, gdy ją wykonywa, siedząc z albumem w ręku u brzegu drogi.

„Z obrazka, przedstawiającego kilku Szwedów, napadniętych przez kilku Polaków, jestem zadowolony, ale z lasem sosnowym w tyle nie umiem sobie poradzić“.

Grottger nie był malarzem krajobrazów z natury swojej, ale malarzem człowieka i jego duszy. Tutaj więc napotyka na trudności i czuje swoje braki. Robi nawet ciekawe doświadczenia, pracując na wspólnie z malarzem Raczyńskim, który mu malował niebo i odległość, a on „wałnął mu Kościuszkę na koniu“. Kiedyindziej—zamek na górze, konia, Tatara lub kontuszowca. Brak ten, który odczuwał, jakże znakomicie pokonał w późniejszych swoich pracach!

W owej to epoce lwowskiej rozpoczął Grottger pisanie dziennika, który prowadzi przez lat cztery, spowiadając się szczerze ze swoich uczuć, obaw, niepowodzeń i radości. Zapisuje dochody i wydatki, za te ostatnie łąjąc się nieraz surowo; notuje swoje niedomagania fizyczne, którym wątlý i słabego zdrowia często podlegał. Z kartek tych wyziera cały żywy człowiek; jak w zwierciadle—odbija się prawdziwe młodzieńcze oblicze Grottgera, ze wszystkimi zaletkami tego, czem jako człowiek miał się stać w przyszłości, z temi właściwościami, które mu były szczęściem i biedą, smutkiem i weselem.

Przyjrzyjmy się tym kilku cechom, które w tym właśnie okresie z dziwną występują wyrazistością.

Oto widzimy go w gronie kolegów, gdy ochota dochodzi

do szczytu, gdy, jak uczniowie na wakacjach: „jeden wyla-  
zi na drugiego i skacze na ziemię wśród wesołego gwaru  
i głośnych śmiechów“. Potem gawędy bez końca, figle stu-  
denckie, szklaneczka „doskonałego miódka“ w wesołej kom-  
panii. A potem—wieczorek u „cioci Olesi“ siostry „kocha-  
nej mameczki“, gdzie ten najsmutniejszy z artystów bawi  
się niefrasobliwie.

„Tańcowałem, jak szalony!—pisze—spociłem się, jak mysz!  
O, Boże! może już nieprędko będę tak tańczył w gronie fa-  
milijnym...“

Oto jedno oblicze Grottgera, coś z dziecka, z chłopięcej  
swawoli i młodzieńczej ochoty.

*„Hej! użyjmy żywota!...“*

„Ależ to piękna! ta panna Helena!—pisze gdzieindziej—  
ale to nie Halcia!“

Otóż to! Była więc i panna Helena, i Halcia, i pani K.  
„jakoś dziwnie przyciągająca“ i bardzo przyjemna „Adziunia“.  
Było ich i więcej, z którymi tańczył, spacerował, które por-  
tretował i z uniesieniem opisywał.

I cóż w tem dziwnego? Wrażliwy na wszelkie piękno,  
musiał je dostrzegać w uroczej twarzy kobiecej. Uczucie  
prawdziwe, głębokie, jedyne, przyjsć miało później,—zbyt  
późno—tymczasem zaś wybujała wrażliwość każe mu zmie-  
niać dość często przedmiot swych młodzieńczych marzeń, do  
piękna, zakłętego w twarz kobiecą, modlić się, jak do bóstwa.

To drugie oblicze Grottgera—młodzieńca.

*„Postaci twojej szadzroszczą anieli!...“*

„Po obiedzie chodzę niekiedy do cukierni, gdy mam pieniądze, a jedząc ciasteczka, bawię się w politykę“. A pieniądze miał teraz sporo, dzięki kilku sprzedanym obrazkom, kilku zamówieniom, przy poparciu Pappenheima. Ale grosz zarobiony dziwnie łatwo uciekał z otwartej dla wszystkich dłoni artysty. Były to „cygarka“ i „likierek“, był teatr, upominki, „suta funda“, wyprawiona kolegom.

Aby dziś było wesoło i „pięknie“, a jutro?—jakoś to będzie. Kilkanaście zarobionych florenów urastało w wyobraźni chłopca do sum niewyczerpanych.

Serdeczny kolega Grabowski jest w biedzie.

„To strach, co ja zrobię z tym biedakiem! — woła Grottger. — O, Boże! zapomnij o moich przewinieniach, a dopomóż mi, abym mógł Grabowskiego wesprzeć i zabrać ze sobą do Wiednia“.

Szlachetny poryw serca, ale sprostać mu nie może studencka kieszeń, z której wyfrunęły wszystkie floreny, zanim Artur gościnnie Lwów opuścił.

To trzecie oblicze Grottgera. Nieopatrność, tak często cechująca artystów.

„Lekko odpływał ciężko zarobiony grosz“.

...„my artyści,

„My—którym nieraz na chleb braknie suchy.

„My do jesiennych tak podobni liści...“

Wydawał, rozpraszał, ale swoje własne, zarobione. W młodej duszy urasta poczucie własnej godności. Oto kiedyś „ciocia Olesia“, u której mieszkał podczas swego pobytu we Lwowie „zaczęła sobie drwić ze mnie — pisze w dzienniczku — a ja uniosłem się i podziękowałem jej za dom. Bo chleb,

ofiarowany mi z przyjaźni, przyjmę z podziękowaniem—ale kto mi go zechce dać z łaski, niech sobie zatrzyma, bo ja go nie przyjmę. Nie chcę łaski, nie proszę o nią!

Oto rzeczy spakowane, inne mieszkanie wynalezione.

Urażony w swej godności chłopiec wynosi się od „cioci Olesi“. Oczywiście w domu poruszenie, niepokój, co będzie, co zrobi zagniewany „Acio“, co w nim zwycięży?

I zwyciężyło uczucie serdeczne. „Poszedłem i przeprosiłem wuja i ciocię. Wybeczałem się, jak już dawno nie pamiętam i znowum się rozpakowałem“.

Dobiegają końca rozkoszne dni pobytu we Lwowie. Odprowadzony przez rodzinę, obdarzony przez dziadka „ogromną fajką“—odjeżdża, polykając łzy, i przyznając się z dumą, iż dopiero wtenczas „beczał“, kiedy wagon z miejsca ruszył.

Jeszcze kilka dni pobytu w Krakowie! Zachwyty nad boskością natury „pięknej Halki“, rozprawy nieskończone z kolegami o powołaniu artysty, sławie i ideałach; wieczorek, gdzie tańczy „na zabój“ — „funda“, wyprawiona kolegom i — wyrusza Grottger „z rozdartem sercem“ i paczką „ślicznych“ listów polecających do Wiednia, gdzie sądzone mu było spędzić kawał życia, bo aż lat 10 przeszło, okresu najbogatszego w plony. Tam, na tej obcej, dalekiej ziemi, stworzył większość dzieł tak drogich i blizkich każdemu polskiemu sercu.

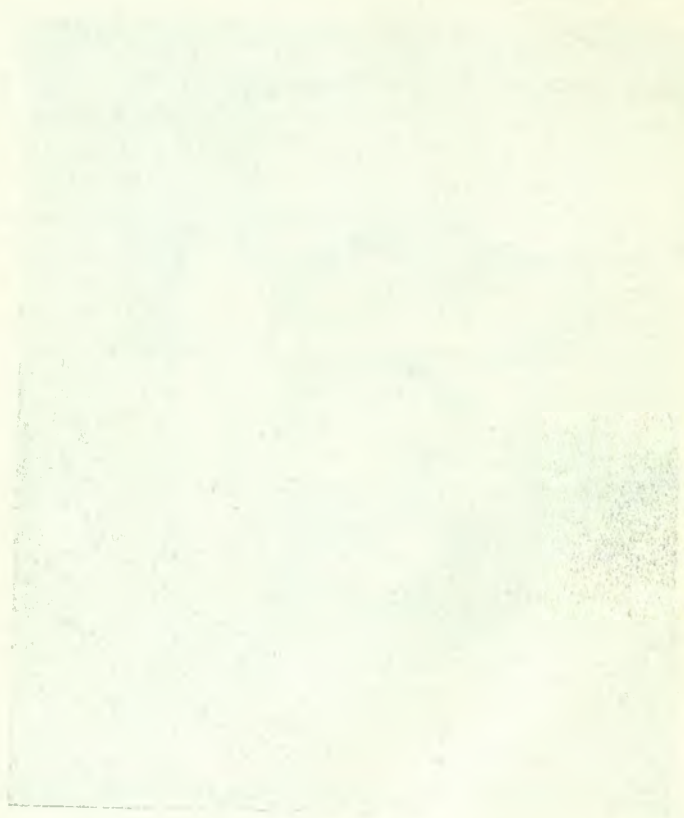
## II.

„Żeby oni wiedzieli, jak ja bieduję!“ W tych kilku wyrazach da się streścić historją pierwszego roku pobytu Grottgera w Wiedniu. Istotnie, była to ciągła, bezustanna walka z niedostatkiem. Smagał go bezlitośnie głód i chłód, a mło-



PLAC ZYGMUNTA III.

*A. H. G. 1862*



dość, a dusza, pełna artystycznych zapałów, wołała o swoje prawa do życia i rozwoju.

W małym pokoiku na ul. Neumarkt mróz przejmuje do kości, woda w lód się ścina, ze zgrabiałych i odmrożonych palców wysuwa się ołówek i pędzel. Jakże tu pracować, jak robić postępy? Lepiej już, otuliwszy się w koldrę i zniszczone futerko, „uciać szpaczka“, żeby zapomnieć nietylko o chłodzie, ale i o pustym żołądku. Jedynym ratunkiem są cygara i rozkoszny dym fajeczki, którym się głód oszukuje. Gorzej jeszcze, gdy i tego zabraknie.

„Oj, bieda, bieda;—pisze smutnie—niema na tytoń, niema na cygara, a to jedyna ucieczka, kiedy się jeść chce“. W celu wyjścia z kłopotliwego położenia wpada biedny na różne genialne pomysły: — „kupię sobie tabaki; jak mi się jeść zachce, to zażyję“.

„Zaczynam robić różne doświadczenia — pisze gdzieindziej— i uzupełnię się od śniadania odzwyczail“. Wszystkie jednak te niezwykle pomysły nie karmiły, nie dodawały sił zwątląlemu ciału, w którym, pomimo wszystko, żył duch pełen zapału i fantazji młodzieńczej.

Z jakim bo niezrównanym humorem opisuje przeprowadzkę jednego z kolegów, w której sam czynny brał udział; jak to: „Kalaj<sup>1)</sup> niósł naprzód swój instrument i poduszkę pod pachą, a w rękę lampę. Ja niosłem książki na pasku, a pod pachą duży pugilares z różnemi gratami. Ostrowski<sup>2)</sup> — ogromnej wielkości rulon z rysunkami, z którego sterczał olbrzymi parasol...“ jak to oglądali się za nimi prze-

1) Kolega-muzyk.

2) Leon Ostrowski — kolega malarz.

chodnie, zadziwieni tym niebywałym pochodem; jak wreszcie, gdy zimno mu było „jak sto diabłów“ uciekał do biblioteki publicznej, gdzie przesiadywał całe godziny w dobrze ogrzanej sali.

Ach, a owe „śliczne“ listy polecające! wszakże zabrał ich okazałą paczkę z Krakowa. Smutne i bezskuteczne wędrówki. Pooddawał je, przyjęty życzliwie tu i owdzie, żywił pewne nieśmiałe nadzieje, iż ktoś zainteresuje się losem jego — dziecka prawie, — rzuconego na bruk wielkiego, obcego miasta. Myślał, iż ktoś mu dopomoże, nie jałmużną bynajmniej, ale ułatwieniem zbycia którejkolwiek z prac malowanych lub rysowanych, w których już wówczas znać było niepospolity talent. Wszystko zawiodło. Jakby los się sprzyścił. Nikt nie śpieszył z pomocą, a delikatny chłopiec w szlachetnem poczuciu godności prosić nie umiał i nie chciał. I wtedy to wyrывa mu się okrzyk rozpaczny: „Wróciłem, straciwszy ostatnią nadzieję“.

Była to zaiste krzyżowa droga owe pierwsze czasy wiedeńskie, które jednego by rozgoryczyły, drugiego odepchnęły od sztuki, innego — upodliły. Jasna, pełna zapału, czysta dusza Grottgera zwycięsko wychodzi z tych zapasów. Opedzając się, jak może, biedzie, nie zaniedbuje pracy nad sobą. Odwiedza pilnie wiedeńskie galerje obrazów i muzea, unosząc się nad pięknoscią dzieł, które widzi; bez cienia zawiści zachwyca się pracami swoich mistrzów i starszych kolegów. Maluje bardzo usilnie w akademii, a w domu obrabia swoje ulubione tematy. Są więc na sztalugach coraz nowe szturmy, oblężenia i potyczki, Czerkiesi, jeźdźcy na koniach i polowania. Niektóre z tych prac sprzedaje z bólem serca kupcom obrazów, biorąc za nie po kilka florenów.



— Aby żyć, aby przetrwać.

Różnemi drogami chodzą losy artystów, ale w zapasach z życiem giną tylko miernoty; talenta i genjusze nieraz w przeciwnościach życia czerpią podniecie do swojej pracy artystycznej. Kto wie, czy nie w tych zapasach leży tajemnica twórczości.

Przeciwności jednak, które spotykały młodziutkiego Artura były istotnie za ciężkie na jego dziecięce barki. Skarży się też nieraz gorzko i żałośnie. I tak trwało, i schodziły dni za dniami, podobne do siebie, jak szare ziarnka różańca.

Ale oto obraz się zmienia.

W wykwintnej, pierwszorzędnej restauracji siedzi nasz młody artysta, zając „najwyborniejsze, najpyszniejsze rzeczy“, pijąc doskonale wino i paląc cygara. Obok niego elegancki oficer cudzoziemiec. Rozmowa toczy się żywo i wesoło. Co się stało? Oto bogatemu oficerkowi przyszła fantazja zabawienia się w artystę i jako mistrza obiera sobie młodziutkiego Grottera. Lekcje też to były—pozał się, Boże! Raz w dzień, drugi raz w nocy, kiedyindziej—późnym wieczorem, przeplatane muzyką lub rozmową, ot, tak, jak przyszła ochota wesołemu paniczowi. Czasem udają się razem na obiad lub kolację, czasem do sali gry, gdzie Saint Clair grał, wygrywał lub przegrywał, jak się zdarzyło, a Grotter patrzył i w czystej jego naturze budził się wstręt i niechęć do tego „paskudztwa“.

Nieporządne to życie nie wpływało bynajmniej dodatnio na młodego chłopca. Czas uciekał, dni pracy przechodziły beczynn timer po nocnej hulance.

„O, szkoda dnia, co tak próżno przeszedł“—pisze w swoim dzienniku.

Na szczęście hulaszczy paniczyk zostaje wezwany przez władze wojskowe i uwalnia Artura od niepożądanego dla jego przyszłości towarzystwa. Idzie więc znowu okres wytężonej pracy, znów „rajtary niemieckie“, forpoczty, górale, a wreszcie studjum głowy, którą profesorowie uznają za najlepszą z pomiędzy wszystkich prac uczniów akademii. Tryumf to był nie lada i ostroga do dalszych wysiłków.

Ale pusta kieszeń zmusza do imania się jakiegokolwiek zarobkowej pracy. Podejmuje wtedy Grottger pracę, przerażającą jego młode siły, i ilustruje poemat dramatyczny Boloz Antoniewicza, p. t. „Anna Oświęcimówna“.

Nie mogąc podołać trudnemu zadaniu, wpada mimowoli w sztuczny, teatralny układ, wzoruje się po prostu na obrazach scenicznych, które miewa często przed oczyma, jako wielbiciel teatru i stały jego bywalec. W każdym razie młodzieńcze to i niedoskonałe dzieło jest pierwszą ilustracją Grottgera, ujętą w szereg obrazów, ujawnia przytem jego teatralne zamiłowania, które odbiły się później w ilustracji do Marji Stuart Szyllera i Fausta Goethego. Zaznacza się wreszcie jeszcze kilkakrotnie i w różnej formie w ciągu życia tego artysty.

Rok szkolny ukończony i wakacje w kraju, które przyniosą cały szereg prac samodzielnych z natury lub kompozycji, na naturze wzorowanych.

Oto „Sprzedaż konia w Śledziejowicach“. Czterej żyd-kowie sprzedają konia dwom szlachcom. Jeden objeżdża szkapę, inni pomagają mu, kłusując i galopując obok, jakby zabiedzoną kobyłę chcieli przynaglić do szybszego biegu.



„POLONIA” — KUŹNIA.



Jest w tym niepretensjonalnym obrazku wyraz prostoty i humor pogodny.

Tak, i humorystyka miała w Grottgerze niepośledniego ilustratora. W parę lat później wykonywa szereg rysuneków, p. t. „Sprawunki“, gdzie Munieczka (siostra Grottgera) i pani Paulina w bombiastych ówczesną modą sukniach obchodzą magazyny, podziwiając kapelusze i mantylki, poszukując najpiękniejszych. Drugi taki szereg obrazków przedstawia przygody autora i kolegi Marcelego Maszkowskiego, a nosi tytuł:— „Przygody karnawałowe“. Ten ton wesołego humoru odzywa się niejednokrotnie w twórczości Grottgera: czy to rysuje muzykantów, żydków pejsatych, czy „familiarną“ brykę, pełną tobołków i dwóch imości, okutanych w futra i zawiesziste kaptury, czy wreszcie kolegę, który śpi smacznie, śmiesznie utknąwszy nosem w poduszkę. Ze wszystkich tych rysuneków rzucanych od niechcienia wзира uśmiechnięte oblicze „Acia“, a każdy z powodzeniem mógłby stanąć obok znanych powszechnie rysunków humorystycznych Kostrzewskiego, przewyższając je wykwintem linii rysunkowej.

Więc to jest Grottger? te śmieszne rysunekki pełne werwy i humoru? Tak, to jest także Grottger, jeszcze jeden Grottger, jeszcze jedno jego artystyczne oblicze, w którym próżnobyśmy się dopatrywali przyszłego twórcy tragicznej Polonii i Wojny.

Na jesień znów znajdujemy Grottgera w Wiedniu, pracującego i walczącego z losem swoim. W każdym bądź razie te następne parę lat przechodzi stosunkowo lepiej. Nieoszacony opiekun, Pappenheim, odwiedza kilkakrotnie Wiedeń i, przyjrawszy się bliżej opłakanemu losowi ulubieńca, roz-

tacza nad nim ojcowską niemal opiekę. A jak wierzył głęboko w przyszłe posłannictwo Grottgera, jako artysty, dowodzą słowa jego listu, który pisał do Artura w odpowiedzi na przeproszenie za długą przerwę w korespondencji.

„Pełni talentu, genialni ludzie, nie zawsze się mogą nagiąć do form codziennego życia. Znam pana jako dobrego, niezrównanego człowieka i z pewnością źle o tobie nie myślę“.

Grottger natomiast myślał wówczas o sobie wiele i myślał jak najsurowszy sędzia, zapisując w nieocenionym dzienniku ową samokrytykę: „Przeklęty, przebrzydły jestem z moimi słabościami i nałogami. Nie mam charakteru stałego, nie mam mocy nad sobą—łada głupstwo mnie znęci...“

W namiętnej tem wyznaniu wychodzi na jaw cała wybuchowość jego temperamentu, która objawia się wszędzie: w pracy, miłości, zachwytach tego siedemnastoletniego dziecka prawie.

W Wiedniu występuje niemłoda już znakomita aktorka Ristori. „O, Ristori!—pisze Grottger—ty bogini!... nie mam słów, ażeby ją opisać—ją i jej grę“.

Bardzo muzykalny — przepada za muzyką, upaja się nią; ta „muzyka niewidziana i niesłyszana“, jest dla niego źródłem szczęścia i zachwytu, a gdy zdarzy mu się zobaczyć ładną twarzyczkę, składa przed nią ręce:—„jej uśmiech boski, jej śliczne, duże, niebieskie oczy tak mnie ciągną, że sobie rady dać nie mogę“.

Każdemu nowemu wrażeniu oddaje się bezwzględnie i niepodzielnie.

Ale „nieoszacowany Papić“ czuwa. „Pracuj!“ — powtarza w każdym liście i zarzuca chłopca zamówieniami, co

zmusza młodego zapaleńca do sumiennej i wytrwałej pracy. Mamy więc z tego czasu szereg wybornych portretów koni, oraz portret konny Pappenheima, gdzie koń i człowiek o wiele jest doskonalszy niż sztuczny trochę krajobraz. Po doskonałym Czerkiesie, trzymającym konia za uzdę, następują ilustracje do Konrada Wallenroda, wysłane na wystawę do Krakowa i dość nieufnie przyjęte przez krytyków; a dalej ilustracja do wiersza Szyllera, p. t. „Godność kobiety“ (Würde der Frauen). I dziwna! jakby niemiecki duch poety spłynął na polskiego artystę; daje nam kompozycję ładną w po-myśle, ale jakże obcą w układzie i wykonaniu! Są to cztery grupy, oplecione lekko i misternie gałęziami winnemi; układ bardzo rozpowszechniony w niemieckiej ilustracji.

W tym też roku kończy Grottger kurs wstępny akademiji. Kurs, oznaczony wogóle na lat cztery, młody nasz artysta kończy w dwa i pół roku i przechodzi na kurs wyższy, pod kierunek dyrektora Rubena.

Na wiosnę roku następnego hr. Pappenheim znów zawi-tał do Wiednia i strapił się mocno, nie zastawszy Grottge-ra. Zdumiony i oburzony pisze do niego do Krakowa, wyrzucając mu, iż zapomina o sztuce i obowiązkach. Wyrzuty zacnego opiekuna okazały się na ten raz niesłusznemi, bo właśnie wtedy, pełnoletności zaledwie dobiegający młodzie-niec, zdobył się na dzieło wielkiej wagi w jego działalności artystycznej i dzieło to, niezrażony przeszłorocznem niepo-wodzeniem, zawiózł sam na wystawę do Krakowa.

Są to cztery akwarelle zatytułowane „Szkola szlachcica polskiego“. Pierwszy w twórczości Grottgera oryginalnie

pomyślany cykl, czyli szereg obrazów, wiążących się ze sobą treścią. Ten sposób ujęcia swego pomysłu zastosował Grottger po raz pierwszy; był to więc pewien zwrot, który następnie rozwinął się i spotężniał wtedy, gdy tworzył najwspanialsze swoje dzieła z ostatnich lat kilku.

Pierwszy obraz „Szkoly szlachcica polskiego“ — zatytułowany „Strzelanie z łuku“ — przedstawia dwoje polskich pachołat, zajętych rycerską zabawą, mierzących z łuku do ustawionego celu. Drugi obraz: na tle staroświeckiego dworu wyrostek w kontusiku wysłuchuje z pokorą, widoczną w spuszczonej oczach i pełnej kłopotliwego zmieszania pozie, surowej nagany pana ojca. Trzeci:—młodzieniec w pełnym rycerskim uzbrojeniu wstrzymuje niecierpliwie rwącego się konia, już sam gotów w bój skoczyć, już trzymając gotową, obnażoną szablę, słucha ostatnich rad bojowych jadącego obok ojca. Czwarty wreszcie:—starzec, chwalebniemi ranami okryty, spoczywa pod drzewem, opodal pola bitwy; ostatnie spojrzenie zwraca na syna, osłabłą ręką ostatnie daje błogosławieństwo. Szkoła rycerza polskiego! dziedzictwo z ojca na syna, ofiara z krwi i żywota.

Cykl ten nie jest już ilustracją cudzego pomysłu, jak np. szereg obrazków do *Anny Oświęcimówny*, lub *Konrada Wallenroda*, ale jest odtworzeniem własnych myśli Grottgera, własnych jego ideałów i umiłowań; jest on tutaj twórcą w całej pełni. Równocześnie wystawił Grottger obraz p. t. „Pobudka“, gdzie przedstawił grupę rycerstwa, obozującą pod lasem, a budzącą się na dźwięk pobudki.

Obie te prace, wystawione w Krakowie, zyskały uznanie krytyki i publiczności, którą treść swojska w połączeniu z właściwą Grottgerowi siłą wyrazu chwytiała za serce.





„POLONIA” — BÓJ.



Z tegoż roku pochodzą niezmiernie ciekawe główki akwarelowe, gdzie uwydatnia się właściwa Grottgerowi zdolność podchwytывania wyrazu twarzy na gorącym uczynku. Takim też wyrazem odznacza się portret własny w całej figurze: na tle pracowni i rozstawionych sztalug wysmukły chłopiec w fezie na głowie, w długich butach i z fajeczką w zębach; ręce zasunięte w wiecznie puste kieszenie, młodzieńcza, bezwasa twarz i filuterny wyraz oczu — stawia nam żywo przed oczy owego „Aciunia“ z Ottyniowic, gdy z szeroko rozwartymi oczyma słuchał opowieści bojowych i tego, co we Lwowie „tańcował jak szalony“ i obrażał się na „ciocię Olesię“ i tego, co w Wiedniu, przymierając głodem „śmieje się do rozpuku“ i wyprawia „brewerje“. To jeszcze ten sam Grottger, z którym poczciwy pułkownik ciągle ma utrapienia.

Ot i teraz pisze list za listem, burcząc nieokiełznanego pupila i zapewniając, że gdyby go nie miał za dobrego i poczciwego w głębi duszy, nie pisał by tak do niego. Spłaca potem jego długi, wyjednywa przebaczenie dyrektora akademii, Rubena, słusznie urażonego, iż uczeń uszedł samowolnie w ciągu roku szkolnego i wreszcie z wielkim mozolem sprowadza winowajcę, już z końcem wiosny, na powrót do Wiednia, aby go niebawem na czas miesięcy letnich wyprawić do Monachjum na otwierającą się właśnie wystawę sztuki niemieckiej.

Zanim to jednak nastąpi maluje Grottger drugi cykl p. t. „Trzy dni z życia polskiego szlachcica“, przedstawiając na nim: pożegnanie przed wyprawą, walkę i śmierć na polu bitwy.

Kto zna Monachjum, ten wie, jak z tą uroczą, dobroduszną stolicą Bawarii łatwo się żyć cudzoziemcowi, a zwłaszcza artyście, który czuje odrazu, iż jest to jedno z jego gniazd, do którego chętnie powraca. W czasie, o którym mowa, bawiła tam dość liczna kolonja młodych polskich artystów i studentów. Grottger poczuł się odrazu otoczony atmosferą życzliwości i sympatji. Wędrówki po muzeach, po mieście, przerywają wesołe koleżeńskie zebrania, których duszą był Grottger, ozlaczając je swoją wrodzoną żywością i niespożytym, tryskającym iskrami dowcipu humorem. A Ignęli do niego wszyscy, jakby przeczuwając, iż jest on w ich gronie tą gwiazdą, która zabłyśnie kiedyś pierwszorzędnym blaskiem.

Miejszem jednak uprzywilejowanym, gdzie najczęściej dąży młode grono, jest owa świeżo otwarta wystawa sztuki niemieckiej. Znajdowano tam rzeczy znane i nieznanne, autorów nowych i dawniejszych.

Cóż z tych wielu nagromadzonych dzieł przemówiło najsilniej do wyobraźni Grottgera? Jaki kierunek zastanowił go najgłębiej? Oto Kaulbach i jego wielkie kartony:—„Prawodawcy“, „Zburzenie wieży Babel“; oto cykle ilustracyjne do poematów; oto wreszcie cykl Schwinda do poetycznej baśni ludowej „O siedmiu krukach“.

Kompozycje figuralne, cykle. Czyż nie to właśnie jest droga, na którą wstąpił Grottger i po której idzie coraz pewniejszym krokiem? Karton, czyli rysunek jednobarwny, czyż nie jest to rodzaj, który sobie w przyszłości upodoba, skoro dziś już pisze w liście do Marcelego Maszkowskiego: „ach, a karton robić, jest coś tak przyjemnego, że tego nawet z obrazu malowaniem porównać nie można“.

W tych wyrazach jest zapowiedź kierunku, który w przyszłości stanie się jego drogą do sławy.

Każdy obraz swojej „Baśni“ ujął Schwind w ramy architektoniczne, bogato ozdabiane. A teraz przyjrzyjmy się kompozycji Grottgera, wykonanej w Monachjum, a zatytułowanej podobnie jak jedna z prac poprzednich: „Trzy dni z życia szlachcica polskiego“, a raczej „Trzy dni z życia rycerza“. Każdy obraz ma swój osobny tytuł: „Wczoraj“, „Dziś“ i „Jutro“. Treść prawie ta sama, co w poprzednim cyklu; ostatni tylko obraz, odmienny, przedstawia ukazanie się ducha zabitego rycerza opuszczonej kochance. Ten ostatni pomysł, o ile głębiej, prościej i samodzielniej odtworzył Grottger w późniejszej Lituanii!

Wszystkie te trzy obrazy wstawił Grottger wzorem Schwinda w ramy architektoniczne, i wogóle cały charakter kompozycji ma cechy zapatrzenia się na obce wzory. Nie ujmuje to wartości temu ślicznemu tryptykowi<sup>1)</sup>, pełnemu życia i wyrazu. Są tu wreszcie ciągłe jeszcze próby wyrabiającego się młodego talentu.

Życie w Monachjum płynie Grottgerowi dość gładko. Jest mile otoczenie, są zarobki; znowu dzięki opiece „nieocenionego Papcia“, który swego ulubieńca gorąco poleca osiadłej w Bawarii rodzinie swojej. Brat hrabiego szczerze zajmuje się losem Artura i ułatwia mu sprzedaż obrazów. Prace jego trafiają aż do cesarzowej austriackiej, która nabywa obrazek o bardzo charakterystycznej treści: Artysta i muza, idący po drodze ciernistej.

Artysta i muza! Jakby pierwszy błysk genialnego pomysłu Grottgera z ostatniego jego cyklu „Wojna“.

---

1) Tryptyk—trzy obrazy, związane ze sobą treścią.

Mile, jasno, rozkosznie płyną dnie na monachijskim bruku. Przeszedł czas letni, przyszła jesień; w wiedeńskiej szkole artystycznej dawno rozpoczęto pracę, zdolniejsi uczniowie myślą już o wielkich kompozycjach, któremi mają zabłysnąć na dorocznej wystawie, a Grottgera jak niema tak niema.

„Lieber panie! — pisze zaniepokojony nie na żarty Pappenheim — co się z panem dzieje? czy krakowska katastrofa powtórzy się w Monachjum?“ Zarzuca mu lekkomyślność, słabość, chwiejność w postanowieniach. „Czy mam stracić wiarę w pański charakter? Gdzie przyrzeczenia dane dyrektorowi?“

Ha, no! czas wracać. Koło połowy grudnia wyrusza Grottger z Monachjum. Jadąc rzemiennym dyszlem zawadza o Salzburg, gdzie ugrzązł na czas jakiś, robiąc długi i płacąc je swemi pracami na poczekaniu. W Linz powtarza się też sama historja. Za nieszczęsnym lekkoduchem gonią desperackie listy Pappenheima, gonią zasiłki pieniężne.

Pamiętką tej awanturniczej drogi i jakby aktem przeprosin jest śliczna okładka do kalendarza, którą Grottger wykonał w Linz, przeznaczając ją w darze dla hrabiego. Wiedział, czem go ująć może, czem najprędzej przeblagać. A jest tam i on sam w obrazku środkowym, bardzo pilny przy rozstawionej sztaludze i przezacny Bawar, najwyraźniej napominający swego niesfornego ulubieńca. Wokoło cztery pełne życia sceny z polowania, i cztery narożniki, zamknięte kolistemi ramami, a wypełnione scenami wojennymi. Wszystko to, w czem ma upodobanie wojak i potomek możnego rodu. A w górze, z okienka półkolistego, jak chochlik filuterny wygląda uśmiechnięta twarz winowajcy.

Dobivszy wreszcie do Wiednia udaje się skruszony grze-



ŚMIERĆ BOREJSZY





sznik do mieszkania hrabiego i, nie wchodząc do środka, posyła przez lokaja swoją laskę, jako znak pokory. Pappenheim uradowany i rozczulony wybiega na spotkanie i, uderzywszy go żartobliwie laską na znak kary i przebaczenia, ściska serdecznie i ułatwia ponowne zagospodarowanie się w Wiedniu.

Dziwne było istotnie i wzruszające to uczucie człowieka, nie związanego ani węzłami krwi, ani narodowości, ani pochodzenia. Wiara jego w gwiazdę Grottgera była tak silną, iż drżał poprostu o losy młodzieńca, niepokoił każdym niepowodzeniem, czuwał nad każdym krokiem, przebaczał wszystko.

A Grottger, jakby czując swoją winę, przedzierzga się odrazu w „grzecznego chłopczyka“ i bardzo pilnie i potulnie zabiera się do pracy. Trzeba zdażyć na oznaczony termin, na ową popisową wystawę prac uczniów akademii.

Zajrzyjmy do pracowni Grottgera i zobaczmy, czem chce zadziwić „pocziwego Rubena“ i cały zespół profesorski.

Oto na tle krajobrazu, dla którego zaczyna Grottger znajdować dość czyste i jasne barwy, spotykają się dwa orszaki: husarja polska i wojsko austriackie. Na czele polskich zastępów — Jan III Sobieski; na czele austriaków — cesarz Leopold. Zjechali się — historyczny ukłon zamieniony między obrońcą Wiednia, a cesarzem. Doskonale w ruchu konie i tłum nadeżdżającego rycerstwa.

Piękny, ciekawy i poprawnie malowany obraz, ale obok coś piękniejszego — szkic, pierwszy projekt do tegoż obrazu. Główne postacie zajmują całą prawie przestrzeń obrazu, mało tłumu, za to co za ruch koni, ile wyrazu w postaci Sobieskiego! jak siedzi na koniu, lekko tylko skłaniając głowę,

dumnym ruchem oddaje konieczny ukłon. Zwycięzca! Ile niepewności i wahania w ukłonie Leopolda!

Szkic zrobił Grottger, jak chciał, obraz — jak chcieli jego kierownicy. Stać go było na obadwa.

Obraz skończył na termin i, ku wielkiej swojej ucieście, a bodaj większej jeszcze „kochanego Papcia“ otrzymuje nagrodę w sumie 300 florenów, po za tem zaś zapłatę za obraz, który nabywa muzeum w Pradze Czeskiej. Tryumf to i zachęta nie lada, a i pomoc materialna, która pozwala Grottgerowi pracować swobodniej i pozostawić cały szereg główek, dziewczątek i kobietek, pełnych ujmującego wdzięku i wyrazu, z oczyma patrzącemi, jak oczy żywych ludzi.

Dotychczas większość dorobku artystycznego Grottgera to są malowania olejne lub akwarellowe. Rysunków, on, który słynie jako rysownik, o którym ogół inaczej nie słyszał nawet, robi bardzo mało. A malowania jego, zwłaszcza owe główki akwarellowe, to doprawdy małe arcydziełka, jako barwa, zawsze bardzo spokojna i harmonijna, jako lekkość i czystość zarysu linijnego.

Ale oto nadchodzi chwila przełomowa; przychodzi coś, co go skieruje poniekąd na tę drogę, po której szedł do końca swego krótkiego żywota.

Wybucho wojna, wojna pomiędzy Austrią a Włochami, popieranemi przez Francję. Wiedeń żyje wiadomościami z placu boju, mieszkańcy, śledząc z niepokojem losy wojny, rozchwytyują dzienniki; zwłaszcza powodzeniem cieszą się dzienniki ilustrowane, gdzie ciekawy wiedeńczyk poszukuje skwapliwie obrazów i scen wojennych. W jednym z poczytniej-

szych wydawnictw ukazuje się duża ilustracja, przedstawiająca „Zdobycie mostu Magenta“; na rogu obrazka dwie splecione ze sobą litery A. G. Tym monogramem pieczętuje Grottger swoje prace, niby najszlachetniejszą z tarcz herbowych. Ruchliwy wydawca czasopisma, Waldheim, poznaje się odrazu na niepospolitym talencie polskiego artysty. Interes wzajemny zawiązuje między Grottgerem a Waldheimem stosunek, który przetrwał lat kilka. Wydawca potrzebuje Grottgera jako młodego, a więc niewymagającego pracownika, Grottger potrzebuje Waldheima, gdyż obstalunki, których mu teraz nie brak, dają mu pewny i stały kawałek chleba.

Nareszcie samodzielny! Nareszcie może stanąć o własnych siłach, nie oglądając się na pomoc z zewnątrz, choćby tak życzliwą, jak Pappenheima. Niezależny! wielkie to słowo dla każdego człowieka. A więc wre praca, każdy tydzień niemal niesie coś nowego. Oto scena walki ulicznej, spotkanie dwóch cesarzów, przybycie jeńców francuskich do Wiednia, tematy jakby umyślnie stworzone dla Grottgera. Człowiek, koń, tłum—to jego żywioł ulubiony.

Pappenheim, pomimo trudów bojowych, które jako pułkownik pełni na froncie, nie przestaje pisywać do Grottgera; zaprasza, by go odwiedził w obozie, obiecując przejażdżki konne, polowanie, kusząc artystę możliwością malowania scen bojowych z natury. Grottger niezawsze zdobywa się na odpowiedź hrabiemu, który niezrażony pisze list za listem do „najlekkomyślniejszego ze wszystkich lekkomyślnych panie“, na przemiany grożąc, prosząc i burcząc wreszcie dobrotliwie, jak najczulszy z ojców. Ale Artur, cały teraz pochłonięty swą zarobkową pracą, na wszelkie zaproszenia odpowiada odmownie listem serdecznym, pełnym werwy, prze-

pełnionym drobnymi rysunekami, w których odzywa się znowu Grottger—humorysta. Na ten raz za przedmiot żartu bierze swoją osobę, przedstawiając się w różnych okolicznościach życia. Rysunkami opowiada, jak to on czyta wiadomości z placu boju, przyczem włosy „dęba“ mu stają z przerażenia, jak to siedzi przy lampie, pracując zawzięcie, jak to z różą w zębach zadaje szyku na ulicach Wiednia, jak wreszcie w wieńcu laurowym na głowie i dyplomem za „Sobieskiego“ pod pachą wychodzi z wystawy, a jako handlarz uliczny zachwala swoje obrazy. List ten musiał sprawić „zacnemu Papciowi“ nie lada uciechę, gdyż jest on, niestety, jedynym, jaki zachował z długoletniej swej korespondencji z Grottgerem.

Nie pojechał więc, nie skusiły go ponętne obietnice hrabiego. Być może, iż w dojrzewającym młodzieńcu budził się coraz silniejszy pęd do samodzielności; być może, iż szczerze i zrozumiale zresztą życzenie Pappenheima, aby Grottgera uczynić malarzem niemieckim, na usługach dworu cesarsko-austriackiego, nie trafiały do gorąco czującej duszy artysty-Polaka; może była i obawa instynktowna, aby tym wpływom nie uległ; dość, iż pozostał przy swej twardej pracy z cichym marzeniem o tych wolnych chwilach, w których tworzyć będzie dla siebie. Życie dalsze zapowiada się nie najgorzej. Samotność w oddaleniu od ukochanej rodziny zaczyna mu ciężyć, uśmiecha mu się możliwość obcowania z „najdroższymi na świecie osobami“, i oto odwraca się karta jego życia prywatnego.

Dwudziestotrzyletni młodzieniec zakłada dom. W niedużym mieszkanku na Mittersteig <sup>1)</sup> rozgospodarowuje się

---

<sup>1)</sup> Ulica w Wiedniu.



„LITUANIA” — ZNAK.



PL. 100. 100.

matka, pani Grottgerowa wraz z „Munieczką“, piękną siostrą Artura.

Ma dom! Ma rodzinę! Serce, zmrożone tułaczką między obcymi, odtajało. Jest to znów dobry okres w życiu Grottgera.

W pracowni na Mittersteig gwarno bywa i wesoło. Gro-  
no kolegów i przyjaciół toczy ożywione rozprawy. Jest tam  
Stanisław Tarnowski, malarze Kotsis i Loeffler, jest Marceli  
Krajewski, są Polacy, bywają i Niemcy, zwabieni rosnącą  
sławą młodego Polaka. A między nimi i on sam w czama-  
rze i długich butach, szczupły, o twarzy ściągłej, suchej,  
o długim orlim nosie; nad drobnymi wargami czernieje ma-  
leńki wąsik. Bardzo wysokie czoło, pod którym jarzą się  
oczy, wielkie, pełne życia. Takim go widzi polska kolonja,  
takim go widzi Wiedeń, gdzie młody malarz w charakte-  
rystycznym swym stroju zaczyna się stawać osobistością  
ogólnie znaną. I tak, jak ongiś we Lwowie, żyje Grott-  
ger życiem gorączkowym. Dnie widzą go pochylonego nad  
rysunkiem, noce — tańczącego „na zabój“, używającego ży-  
cia w rozbawionym Wiedniu; a ranki znowu do pracy wo-  
łają.

Źle jest!

„Jeśli ciało upada pod brzemieniem znojów i niewczasów,  
to niech je duch mój podźwignie“ — pisze do Andrzeja Gra-  
bowskiego. I dźwiga się, zrywa, zadając gwałt słabemu cia-  
łu, „całami kłębami“ połykając zabójczy dym fajczany, w tych  
sztucznych podnietach gubiąc i odnajdując siebie.

Szalone to życie, gdy spalał się w ogniu zewnętrznych  
podniet i wewnętrznych zapasów, niszcząc wątłe siły; roz-  
żarza tem bardziej popęd twórczy, który wypowiada się

w mnóstwie pracy ilustracyjnej dla wydawnictw waldheimowskich, oraz owej wymarzonej pracy „dla siebie“.

Jakże owocnym był ten rok rozerwany i niespokojny! Dziwne to, a jednak prawdziwe. Są artyści, u których iskry twórcze najsilniej wybuchają właśnie w tych chwilach rzadkich, kradzionych pracy przymusowej, w zamęcie gorączkowego życia. Do takich należał Grottger i dalszy ciąg jego życia będzie tylko potwierdzeniem tej prawdy.

Cóż nam pozostawił ten rok, tak bliski już okresu najcudniejszego rozwoju sił twórczych Artura?

W jesieni tegoż roku znalazł się pod Lwowem, w Barszowicach, u przyjaciół swoich, Maszkowskich. Z tego pobytu uwozi cały szereg studjów głów męskich, biorąc sobie za modele, między innymi, wyraziste twarze całej rodziny Maszkowskich oraz typy ludu okolicznego. A mają tę przygotowania cel swój wyraźny. Dawno już tkwi w głowie Grottgera pomysł do większej kompozycji, do której się zabiera, powróciwszy do Wiednia. Tytuł jej:—„Modlitwa konfederatów barskich“. Obraz olejny, który jest jakby zapowiedzią, pierwszym zwiastunem rodzaju, który przeważy w późniejszych pracach Grottgera,—rodzaju, gdzie cała waga leży przedewszystkiem w wyrazie twarzy i postaci.

Jakże wygląda ów znamienny obraz?

Oto wzgórze na skraju lasu; gdzieś tam w dali grają trębacze, wyjeżdżają oddziały konnicy, furkoczą proporczyki, a na przodzie tłum, klęczący, zamodlony, wpatrzony w sztandar, który ma ich wieść ku niewiadomemu.

Modlitwa konfederatów! — starzec koło pacholęcia, mąż w sile wieku, pan w kontuszu koło strzelca w kubraku



i chłopą w siermiedze; wszyscy na kolanach, w szeregu prawie jednostajnym. Wielka prostota i spokój w układzie, wszystko uwydatnia się tylko w wyrazach twarzy, przejętych i skupionych, to — w czym do mistrzostwa doszedł Grottger w jednej z ostatnich prac swoich: — „Pochód na Sybir“.

Polskiej wsi, której powietrzem odetchnął na krótko stęskniony, zawdzięczamy prześliczną „Modlitwę rolnika“.

*„Zmrok, słońce zaszło we mgły i opary,  
„Kładzie się dołem cień liljowo-szary...”*

Wzgórze; na nim pług porzucony i postać chłopą polskiego, który modlitwą żegna dzień uchodzący. Złote niebo, a u góry zwisa ciężka chmura, cała przepojona gorącą czerwienią zachodu. Z tego dzieła przemawia do nas Grottger-krajobrazista; za wiele było w nim poety, żeby nie przemówiło do niego piękno natury; za wielkim był artystą, żeby nie pokonać pewnych trudności, jakie mu ten właśnie kierunek nastęczał i żeby nie wyszedł z nich zwycięsko. Kto sądzi, że nastrój, uczucie w krajobrazie jest wynalazkiem ostatnich czasów, niech spojrzy na „Modlitwę rolnika“. A dalej znów tematy z historii naszej: „Ucieczka Henryka Waleczjusza“, nabyta do Londynu: trzech jeźdźcy na dzielnych koniach, oglądający się z niepokojem, czy ująć zdołają przed pogonią; „Zygmunt i Barbara“ złączeni uściskiem.

W starej siedzibie Pappenheimów znajduje się portret naturalnej wielkości do pół figury. Otacza go cześć należna: raz, że przedstawia hr. Aleksandra Pappenheima, powtóre, że malował go Artur Grottger. O portrecie tym krążą legendy. Jedna opiewa, iż wykonany był w przeciągu 26 go-

dzin, w czym nie byłoby nic nadzwyczajnego, o ile ten czas nie był by jedną dobą. Druga mówi, iż Grottger wymalował go w trzy godziny, co znów zakrawa na bajeczkę, gdyż portret jest skończony do najdrobniejszych szczegółów. Wszystko jedno; — „Kochany Papcio“ stoi na nim jak żywy; czuć w tym przepysznym rysunku, iż podobieństwo musi być uderzające; a któż pyta artystę, jak długo nad swoim dziełem pracował, któż pyta poetę lub powieściopisarza, ile razy kreślił? Chodzi o wynik ostateczny.

I to są owe prace „dla siebie“, wykonane w wolnych chwilach, których doprawdy nigdy niema zawiele. Skończyła się wprawdzie wojna i bojowe tematy, ale pracy nie brakuje. Przedsiębiorczy Waldheim poznał się na nieocenionym pracowniku, jakiego pozyskał w polskim rysowniku i zasypuje go literalnie zamówieniami. Ilustruje więc Grottger powieści, nowele, artykuły bieżące, pracuje już nie w jednym, ale w kilku czasopismach. Żeby nie wracać do tego odrębnego bądź co bądź działu pracy, a dać pojęcie czytelnikowi, czem ona była dla rozwoju Grottgera, skończymy z nią na tem miejscu.

Początek tej pracy zarobkowo-ilustracyjnej datuje się, jak wiemy od 1859 r., koniec przypada na r. 1864, czyli okres lat pięciu. W tym to czasie zrobił Grottger przeszło 250 ilustracji! Co za ogrom pracy, zważywszy, iż między temi „obrazkami“, które się z taką łatwością ogląda, znajdują się takie, które obejmują po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt postaci, jak np. „Pochód Turków na Wiedeń“, „Stadnina węgierska“, „Śmierć Czachowskiego“<sup>1)</sup>; że jest w tem ilu-

---

<sup>1)</sup> Dowódzca jednego z oddziałów powstańczych.

strowana „Historja Austrii“, gdzie obowiązywała ścisłość historyczna w odtworzeniu tła obrazów i ubiorów ówczesnych. Przepyszny w wyrazie Galileusz w chwili, gdy mówi swe historyczne słowa „e pur si muovel“<sup>1)</sup> „Dzień zaduszny“, „Wianki“, „Zoe“ — liryczna scena, przedstawiająca matkę, podnoszącą dziecko do krat więziennych, aby zobaczyć uwięzionego ojca.

Po cóż wymieniać więcej? Cyfry mówią same za siebie; a nam tylko żałować należy, iż te kwiaty talentu nie dla nas kwitły, że zginęły gdzieś na obczyźnie. „Szkoda pereł, które leżą w mórz toni“. Szkoda!

„Praca zarobkowa zabija talent“ — twierdzą niektórzy. Otóż nie. Praca przymusowa, to dla niektórych natur podnieta, przelamująca chwile leniwych bezwładów. Są tacy, którzy z miejsca nie ruszą, póki ich mus nie popędzi, a raz ruszywszy, dokonywują rzeczy zdumiewających. Mnóstwo dzieł, znanych i podziwianych dziś jako arcydzieła, było wykonane na zamówienia. Grottger nie należał do typu zdolnych próżniaków, przeciwnie, pracował wogóle dużo, niemniej jednak w ciągu tych lat pięciu dokonał pracy tak ogromnej, jakiej by nigdy z dobrej woli tylko nie podolał. Cóż zyskał na tem, prócz zarobków? Ta praca systematyczna dała mu wprawę po prostu — zdumiewającą. Zarysy, jakie rzucał na papier, były tak pewne, śmiałe, nieomyłne, iż nic w nich do poprawienia nie było, a dowodzą tego jego szkice, które pozostały w wielkiej ilości.

Znajomość znowu techniki barwnej, czyli malarstwa, które również pilnie studjował, nadały jego rysunkom kolor,

---

1) „A jednak się porusza!“

czyli mówiąc jaśniej, iż w każdym jego kartonie, wykonanym czy to kredą czarną i białą, czy ołówkiem, czy sepją<sup>1)</sup>, widać i czuć doskonale, że to, co rysował, miało barwy rozmaite, ciemne i jasne, jak np. włosy blond lub ciemne, suknia jasna, ciemna lub czarna. To odróżnienie zowie się właśnie barwą w rysunku i to w wysokim stopniu posiadał Grottger. Był malarzem nie tylko w swoich obrazach olejnych i akwarellowych, ale i w rysunkach swoich.

Więcej jeszcze jednak niż barwa rzuca się w oczy w kompozycjach Grottgera poczucie rzeźbiarskie. Ileż jest w jego obrazach figur pojedynczych, grup podwójnych lub z kilku postaci, które żywcem można by było przerobić na rzeźbę. I coby to były za rzeźby! Proszę tylko spojrzeć: Karta tytułowa do „Polonii“, „Bój“ z Lituanii, „Wedeta“, „Borejsza“, „Artysta i muza“ z „Wojny“, „Kolędnicy“, „Sybiracy“, niosący krzyż — tylko je kuć w marmurze, tylko odlewać w bronzie! Kompozycje Grottgera czekają tego, kto pokaże światu Grottgera-rzeźbiarza.

W tym wirze pracy i zabaw zbliżają się najważniejsze czasy twórczości Grottgera.

„Ukłony pańskiej matce — pisze w r. 1860 Pappenheim — którą proszę, by panu wycięła reprimandę i by z pana zrobiła porządnego człowieka, dotrzymującego słowa; spodziewam się, że i pańska piękna siostrzyczka w tem nam pomoże. Jeżeli więc tak wszyscy perorować będziemy, to może to przecież — na nic się nie przyda“.

I nie bez racji troska się zący Pappenheim. Nic nie zapowiada, żeby z Grottgera dało się uczynić „porządnego“,

---

<sup>1)</sup> Sepja — farba ciemno-brunatna.

zrównoważonego pracownika, wedle upodobań hrabiego, a na usługach domu jego cesarskiej mości. Myśl Grottgera zwraca się do kraju, oczy patrzą z wyteżeniem ku północnej stronie, ucho chwyta niepokojące odgłosy nadciągającej burzy.

Duszę miał przepelnioną tęsknotą, serce ukochaniem Polski, wyobraźnię pełną mocy twórczej, a rękę wyrobioną i pewną.

Był gotów.

### III.

A od Warszawy szły odgłosy najprzód ciche, potem coraz głośniejsze.

Coś się tam działo, zrywało do lotu, wołało głosem wielkim: „Ojczyznę, wolność...”

Pierwsze dreszcze wstrząsają stolicą. Pogrzeb jenerałowej Sowińskiej; kilkonastotysięczny tłum wyległ na ulice — uroczysty, skupiony. W kilka miesięcy później kościoły stolicy przepelnia lud rozmodlony — za ofiary 1831 r., biją dzwony jednym wspólnym tętnem.

Serce Warszawy drgnęło i rozgorzało, jak płomień długo tłumiony. Chwile ekstazy, a potem — grom!

W tłum bezbronny d. 27 lutego 1861 r. padają strzały mordercze. Pięć ofiar i w dni kilka pięć trumien w jednym kondukcje, a za nimi lud warszawski; nie — Warszawa cała w kirach żałobnych.

Czy dość? Nie. 8 kwietnia już ofiar nie rachowano. Było ich zawiele.

A car patrzył ku stolicy. Patrzył i dziwił się.

„Warszawa jedna twojej potędze urąga,  
 „Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,  
 „Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,  
 „Boś ją ukradł i skrwawił synu Wasilowy!“

Ta sama Warszawa z przed lat trzydziestu! Fala powracająca. Nowe pokolenie dorosło do męczeńskiego stosu.

A Grottger słucha pobudek bojowych... nie obce mu, nie obce! Wieczory ottyniowickie, gdy „wichry śpiewały w kominie swoje zwykle, płaczące chorały“, a dzieje powstania listopadowego kołysały wyobraźnię dziecka.

Warszawa! dziwne! Ta obca mu Warszawa, woła doń głosem tak silnym, jak wołanie matki.

Usłyszał ją syn i odkrzyknął: „Jestem!“

Jak siedem strof poematu staje przed nami siedem obrazów z czasu tak zwanych „wypadków“ 1861 r.

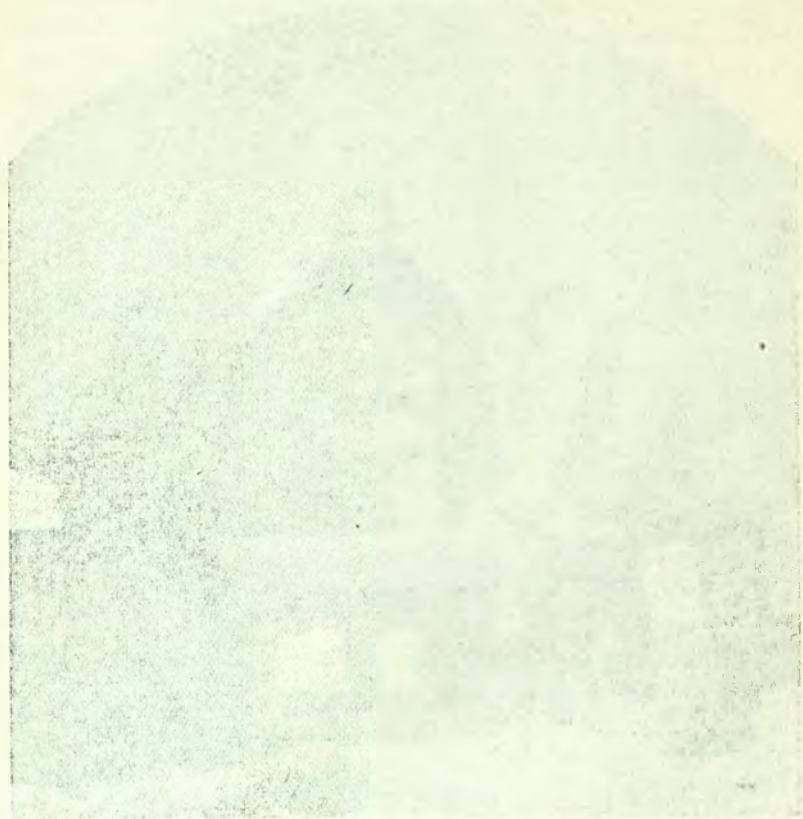
W pierwszym — przed ołtarzem kościelnym kapłan białą Hostją błogosławi ludowi, a oczy pacholęcia, służącego do mszy, biegną ku świętemu znakowi z wyrazem uniesienia.

Lud, w kościele zamknięty, — one tragiczne, trzydziestogodzinne nieszpory. Patrzcie! Matka tuli u kolan dwoje małych dzieci; dziewczątka młode z braciszkiem, starzec zadumany. Oczy kobiety i dziewczęcia patrzają gdzieś w dal, zgrozą zdjęte. Co widzą tam, w głębi kościoła? czy wojsko wchodzące, które będzie się znęcać nad bezbronnymi? Tylko twarz staruszki cicha i spokojna. Jej oczy wypłakane wszystko już widziały.

Pieśń tryumfalna! Zbratanie stanów na pogrzebie biskupa Fijałkowskiego. Oto w środku chłop polski w siermiędze. Twarz ma piastową i piastowską dostojność; trzyma sztandar, „rękami, czarnymi od pługa“. Z obu stron szlachta



NA SYBIRZE,



2000 0000



w kontuszach, o hetmańskich twarzach, podtrzymuje mdlejące ramiona chłopca.

I zaraz dalszy ciąg tego niebywałego konduktu. Trzej żydzi. W środku rabin, w wielkiej lisiej czapie, oceniającej dziwne, mistyczne oczy, gdzieś patrzące w zaświaty. Twarz proroka z biblii.

Pierwsza ofiara! Jeden z bezimiennych, młodzieniec. Dobrze mierzył najemny morderca. Na piersiach ranka małeńka,—nie potrzeba więcej. Wali się w tył, uderzając głową o mur po za sobą. Zgroza w twarzy, kłęby dymu, ulatująca z głowy konfederatka i upuszczona książka do nabożeństwa. To wszystko. Modlitwę swoją skończy przed Bogiem.

Wdowa! Ileż ich było wówczas! Znów kościół, a raczej jego kruchta. Do żałobnej sukni tuli się dwóch chłopaczków o niewinnych, nieświadomych nieszczęścia buziach.

I ostatni. Czy mówić potrzeba? Zamknięcie kościołów, zlanych krwią ofiar, kościołów uświęconych. Zdaje się, że słyhać zgrzyt klucza w zamku, zdaje się, iż nie inaczej patrzeć musiały oczy zakonników, powołanych do tej strasznej czynności.

*Zapadły ciężkie podwoje kościoła,  
Zaskrzyły rdzawe zasuwę zamczyska  
I mnich tęg otarł, co z ócz mu wytryska,  
I startł pot krwawy z ranionego czoła.*

*Zamknięty kościół, zasuwę podwoi,  
Na nim przekleństwo z mordów srogie cięży.  
By je zdjąć z niego w prawach świętych stoi  
Potrzeba modłów i poświęceń księży.*

*Nie bluźnię, starcy! lecz bez poświęcenia  
Wszedłbym w ten kościół, choć on jest przeklęty...  
W krwi, co go zlewa, męczenników świętej  
Znaczyłbym rękę, a do rozgrzeszenia*

*Każdybym ołtarz krwią tą w krzyż przeżegnał.  
Takim żegnaniem święciłbym ołtarze,  
Takim-bym krzyżem przekleństwo z nich zegnał:  
Krew męczenników i przekleństwo zmaże.*

Wiersz ten drukowany był wówczas w czasopiśmie polskim, wychodzącym w Wiedniu: — „Postęp“. Podcyfrowany jest literami A. G.

Kto wie, czy autorem jego nie jest sam Grottger, który posiadał wybitne zdolności literackie, a był wtedy współredaktorem owego pisma.

Pierwszy ten dojrzały cykl Grottgera, te siedem strof poematu ujął autor w format czworoboczny, zakończony u góry płaską linią łukowatą. To zakończenie łukowe upodobał sobie Grottger i stosował je we wszystkich następnych cyklach. A sposób roboty? Skromny kredkowy; niema w nim barw i tem lepiej, że niema, że nie odrywają uwagi od tego, co jest duszą obrazu.

W pierwszych dniach listopada 1861 r. ukazuje się „Warszawa“ na wystawie wiedeńskiej. I cóż? Oto wstępnym bojem zdobywa uznanie krytyki. Nie tylko uznanie; poeta niemiecki Fogler oddaje hołd autorowi, komponując wiersze do siedmiu obrazów „Warszawy“, i wypowiadając je na zebraniu artystycznym.

„Byłem przy tem — pisze Grottger — kiedy wydeklałowałem te wiersze z całym zapalem, w prawdziwym artystycznym uniesieniu; słyszałem z jakim entuzjazmem przyjęło je dwu-

stu Niemców i płakałem w duszy jak dziecko! Mój Boże—można być wynagrodzonym lepiej?”

W oknach wystaw księgarskich wszędzie widniała cierniowa korona okładki „Warszawy“, która w tysiącach odbitek szła między ludzi, niby żywe świadectwo krzywd doświadczonych. „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie—27 lutego—8 kwietnia 1861 r.“ tak brzmi drukowany na okładce napis, poniżej korony cierniowej, okalającej tytuł i nazwisko autora.

A on sam tymczasem sławny już i podziwiany bieduje po dawnemu. Pięć miesięcy ciężkiej choroby odrywa go od pracy zarobkowej. „Straciłem prawie wszystkie środki—pisze do hr. Dzieduszyckiego—do uczciwego utrzymania siebie i rodziny“. A w tych robotach złożył wszystko, co myślał, co czuł,—to, co nad życie ukochał,—i to, w czym swoje nadzieje pokładał. Hr. Dzieduszycki, który wyraził był chęć nabycia jakiejś większej pracy Grottgera, zakupuje „Warszawę“ do swoich zbiorów lwowskich.

Zachęcony powodzeniem zabiera się Grottger do drugiego cyklu tej samej treści. Że musiał być doskonalszym od pierwszego dowodzi jeden tylko rysunek, jaki znamy: — „Wdowa“, gdzie postać kobiety w kirach ma o wiele więcej dramatycznego wyrazu. I też to jedno, co wiemy o tym cyklu. Nabyty niezwłocznie po ukończeniu do Londynu, nie reprodukowany w odbitkach, przepadł i nie wiadomo dotychczas, gdzie i w czyich rękach się znajduje i czy nawet istnieje jeszcze.

„Plac Zygmunta“, a raczej jedno okno, na plac wychodzące, w tej tragicznej, pamiętnej chwili 1861 r.—to treść je-

dnego z najciekawszych kartonów. Nie ludzie, działający na nim, nie ten tłum zgorączkowany, rozpierchły, przerażony, ale tylko cztery osoby w oknie. Nie ci, którzy giną, ale ci, którzy na ginących patrzą—ze zgrozą, z bólem, z rozpaczą! I zaprawdę, żaden obraz całego tłumu nie robiłby tak przejmującego wrażenia, jak te kilka figur, naszkicowanych ledwie. Patrząc na nie dreszcz cię chwyta i ciśnie się na usta pytanie: „co oni tam widzą?” i odpowiedź, że tam się musi dzieć coś straszego. To jest te kilka mocnych wyrazów, które wstrząsają nieraz silniej, niż długie piękne i wyszukane opowieści. Skąd je wziął Grottger, on, który tego nie widział, który w Warszawie nigdy nie był? Niech odpowiedzą własne jego słowa: „Niemcy pojąć nie mogą, że ja, nie ruszając się wcale z Wiednia, potrafiłem to tak uczuć, jakgdyby to prawda była, że Polak ojczyznę kochać zapomni“.

\* \* \*

I wyszedł w pole nie rycerz w skrzydlatej zbroi, nie ułan „jak malowanie“, nie kosynier o silnej pięści i rozrosłych barkach, ale wyszło pacholę niedorosłe w czapeczce rogatej, z siwym barankiem, ze starą „ojcową“ dubeltówką. Wyszedł młodzieniec o silnym duchu, a słabej dłoni; — wyszedł mąż dojrzały bez wiary i bez nadziei, bo iść trzeba było. A z nich wyszli ich wodzowie. Wodza — zabrakło, zabrakło jednego, który by „zestrzelił myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“.

Szedł rok 1863. Po lasach, bagnach i ostępach odprawiała się te święte ofiary z krwi najszlachetniejszej.

Na początku tego roku znalazł się Grottger w kraju—we



NIESIENIE KRZYŻA.



6

Lwowie. Ostatni uścisk ręki z poetą Romanowskim, który dążył do szeregów, a w kilka dni wiadomość, że padł na polu walki, wstrząsnęła nim do głębi. „To mój przyjaciel!” — zawołał — „teraz na mnie kolej!” i rwie się do boju. Wstrzymał go wówczas przyjaciel St. Tarnowski, wskazując inną służbę, nie z szablą, ale z ołówkiem i pędzlem w rękę. I wtedy to ze zgorączkowanej wyobraźni, z duszy, przejętej bólem, gdy go „co chwila nowina przeraża, bijąca z Polski jako dzwon cmentarza...” wysnuwa się szereg obrazów, które rzuca na kartony bez przygotowań prawie, bez uprzednich szkiców, jak improwizację.

„Polonia!” Czy widzisz ją, w czarne zasłony owitą? ręce ma skute w dyby. Obok — trzej młodzieńcy, trzej synowie; jeden natęża młode ramiona, żeby rozluźnić więzy, dwaj patrzą, ręce wyciągając ku przyszłości, ku jutrze. To karta tytułowa.

Pierwszy obraz — branka, gdy to porywano rekruta nocą, podstępem. Drzwi uchylone; tylko bagnet błyska i związane w tył dłonie nowobrańca. A tu z włosom rozwianym, w bieliźnie, żona czy siostra wlecze się na kolanach oszalała, bezprzytomna...

Tych pognali — inni — sami poszli w las. Kuźnia powstańcza, kosy kują. Spójrzycie na te twarze! to ci sami, co o pień drzewa wsparci skupią się koło sztandaru i zginą przy nim.

Ranni, uprowadzeni z pobojuwiska. Bitwa jeszcze nie skończona, coś się tam jeszcze dzieje. Oczy rannego patrzą z natężeniem, ręka ściska dubeltówkę; ociaga się, czy wejść do domu, który mu da schronienie, czy, wy-

rwawszy się z rąk przytrzymującego go dziewczęcia, lecieć tam ze skrwawioną głową i płonącymi oczyma.

„Mistrz coraz takty nagli i tony natęża...” Wróg do drzwi dworu szturmuje! Podparli je ramieniem dwaj młodzieńcy... trzymają... czy długo wytrwają? Runie tłuszcza rozszalała na tego starca bezsilnego, dzieci drobne, kobiety na klęczkach.

Przeszli jak huragan, odeszli... w kłębach dymu; mąż zamordowany, we śnie zduszony, jeszcze ściśniętą pięścią grozi. Trup żony, syna pacholecia—dziecka maleńkiego, i ten powstaniec, który przyszedł zapóźno i stoi, twarz rękami zasłoniwszy.

„Mistrz nakoniec strunami wszystkiemi zagrzmiał—i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi”. Śmierć, śmierć naokoło, pobojuwisko. Trup odarty, obnażony, bolesny, a przy nim matka, klęczy z rękoma rozłożonemi, jakby mówiła: „Panie, ty widzisz!”—a łez już niema. A dalej kobieta młoda, siostra może, albo narzeczona, ze zgrozą w oczach i twarzy.

I koniec. Ostatni akord kończącej się pieśni, ostatnia łza. Kolega-powstaniec przyniósł z pola walki list i jedno słowo—„poległ”. Twarze tych kilku kobiet, zgromadzonych w koło stołu, zakryte; zdaje się, że słychać szloch straszny, rozdzierający. Żaloba i gdzieś tam mogiła, bezimienna, trawą porastająca.

Olbrzymia praca ukończona i znów ogarnia zdumienie. Wszakże nie był tam, nie widział. I to właśnie dobrze było i dlatego tylko mógł stworzyć „Polonię” taką, jaką była. Wielkie dzieła rodzą się ze wspomnienia, z tęsknoty, nie rodzą się nigdy z tego, na co się zbyt blisko patrzy; na to, żeby z rzeczywistości dobyć ziarna poezji, trzeba strząsnąć



z niej wszystko, co ją kazi, trzeba na nią spojrzeć z odległości czasu lub miejsca. Grottger patrzył na wszystko, co się działo z odległego Wiednia; obrazy jawiły mu się owite w błękitną mgłę oddalenia i, rzecz rzadka i ciekawa, powstało arcydzieło równocześnie z rozgrywającymi się właśnie wypadkami.

Zdawało by się, iż dzieło tak piękne w formie, przejmujące w treści, powinno znaleźć prędko nabywcę; tymczasem dzieje się inaczej. „Polonia“ próżno czeka amatora, a Grottger po dawnemu zarabia na życie swoje i rodziny ilustracją, do której przybywają czasem epizody rozgrywających się walk powstańczych. Dochody nie wystarczają na pokrycie potrzeb codziennego życia, tembardziej, iż Grottger dopomaga obu swoim braciom, służącym wojskowo, wspiera rodaków, których po smutnych wypadkach dużo znalazło się po za granicami kraju; oddaje im nieraz ostatni grosz. Stosunki z hr. Pappenheimem uległy pewnemu oziębieniu. Tematy, jakie Grottger wybiera do swoich obrazów, nie trafiły do przekonania zacnego Bawarczyka. Na inną miarę piersi mieli stworzone. Płonąca pierś Grottgera nie dawała się wcisnąć w opięty mundur nadwornego malarza.

„U nas coraz dotkliwszy niedostatek,— pisze pani Grottgerowa do Andrzeja Grabowskiego.—Tak źle, jak tego roku, nigdy jeszcze nie było. Obrazy są śliczne („Polonia“), a nikt ich nie kupuje... dosyć powiedzieć, że wszystkie źródła wyczerpane, gdzie się kiedykolwiek dostało. Chłopa-czysko tak zmizerniał ze zgryzoty, że tylko skóra i kości na nim; gdy tak czasem siedzie w fotelu, to jak z kamienia wykuty, bez ruchu siedzi, — a ja się w drugim pokoju łzami zalewam...“

Pośród zgryzot i niedostatku jest jednak czas na „swoją“ pracę, czas odkradziony należnemu odpoczynkowi.

Oto „Śmierć Borejszy“; stoi taki młodzieńczyk z ogniem w oczach, rozburzonym włosom i karabinem w dłoni; a w mroku pochmurnego dnia zimowego niewidzialna, cicho, idzie po śniegu—śmierć.

Dwa obrazy olejne, związane treścią—„Walka i pojednanie“. Na pierwszym — w śnieżnej zadymce zмага się powstaniec z rosyjskim żołnierzem, nacierają na siebie—wrogowie. Obraz się zmienia. Ucichła zadymka, w oddaleniu stoją cicho ośnieżone sosny i oni dwaj z przebitymi pierśmiami, obok siebie, zgodni, pojednani na wieczność. Taki dyptyk, czyli obraz podwójny, wykonał Grottger później po raz drugi, biorąc treść tę samą, zmieniając tylko sposób wykonania z olejnego na kredkowy, jednobarwny. Jest jeszcze i „Powstaniec“—kaleka, wlokący się o kuli w towarzystwie matki i małej siostrzyczki; jest i „Nocturno“. Muzyczny utwór? Nie; ale prawie tak, bo zdaje się, że nad onym trupem kosyniera, z twarzą zwróconą ku niebu, zdającym się spać tylko, że nad onym pobojożewiskiem i nad jedyną żywą głową chłopca z kosą w ręku i modlitwą na ustach ta cicha, księżycowa noc żalosne „requiem“ śpiewa.

Los wreszcie zlitował się nad tym niestrudzonym pracownikiem. Hrabia Janos Palfy z Preszburga nabywa „Polonię“ za sumę 3,000 florenów i cykl zostaje uwieziony do zamku Bąjmocs, rezydencji węgierskiego magnata. Oto już drugie wielkie dzieło Grottgera dla nas stracone. A hrabia umie cenić ten skarb, ale też i strzeże go zazdrośnie, nie udzielając cyklu na żadne wystawy, niechętnie nawet pozwalając na oglądanie go. I stało się, iż dopiero w r. 1910



KOLEDNICY.



widział go Jan Bołoz-Antoniewicz, autor wspaniałej monografii Grottgera i tak to widzenie opisuje: „ujrzałem „Polonię“ tej wiosny po latach 46 ukrycia. Oko jej twórcy, zegnając się z tem dziełem w r. 1864, było ostatniem okiem polskiem, które ją dotąd widziało... Chroniony ciężkimi, grubemi na centymetr płytami szklannemi, wisi tam ten cykl za spuszczonei żaluzjami w półmroku niezamieszkanego apartamentu“.

Tymczasem jednak owe 3,000 fl., a 1,000 fl. otrzymanych za prawo reprodukcji, w wyobraźni niepraktycznego zawsze w życiu artysty wydaje się sumą ogromną. W ślad za tem idzie zmiana mieszkania, cała rodzina przenosi się do Heinrichshofu, pałacu barona Draschego. Pracownia przybiera wygląd artystyczny; znajdują się zbytkowniejsze meble, nie brak też i odwiedzających, których nęci nie tylko niezwykła postać młodego artysty, ale i wdzięk wrodzony kobiecie polskiej, którym się odznaczały matka i siostra Grottgera. Życie układa się szerzej, wygodniej, przyjemniej. Któż mu z tego zarzut zrobić może? Czyż nie było to uczucie więźnia, nagle na swobodę wypuszczonego? Należały mu się chwile swobodniejszego, piękniejszego życia; a że się to życie potem zemściło za te kilka dobrych chwil, odkradzionych długim latom trosk i biedy, to już leżało w przeznaczeniu Grottgera, któremu los nie kwiatami drogi życia usłał.

Znajomości z hr. Pallffy zawdzięcza Grottger kilka rozkosznych chwil, które danem mu było przeżyć. Węgierski magnat, jadąc do Wenecji, zabiera ze sobą Grottgera. Przeżywa tam kilka tygodni, jak w marzeniu, jak w baśni cza-

rodziejskiej, w tem dziwnym mieście, które jest samo zaklętą bajką.

Widział te smugi księżycowe na martwych wodach kanałów, i sunące po nich czarne gondole, i przewoźników, pochylających się z wdziękiem, Włochom właściwym, przy każdym uderzeniu wiosła. I wiozły go te smukłe łódeczki, wiozły go lotem jaskółczym ku niezliczonym pałacom o dziwnych, lekkich, poetycznych kształtach, zatrzymywały się u kamiennych schodów, schodzących w morze, wiozły go po wązkich kanałach między milczącemi murami tego napół umarłego miasta. Na placu Św. Marka, u stóp tego kościoła, co błyszczy i migocze jak wielki klejnot, spadają mu na głowę i ramiona chmury siwych gołębi, a ze ścian muzeów i galerji obrazów patrzą, zawsze żywe dzieła starych malarzy włoskich: Tycjana, Tintoretta, Bonifazia, Rafaela... patrzą i mówią do niego głosem wielkiej sztuki z przed lat czterystu.

Słucha tych głosów Grottger; za silne były, żeby ich nie słyszeć; chwyta też za pędzel i w zachwycie kopjuje wielkich mistrzów, przejmuje się złotawym kolorem Tycjana, podziwia czystość i wdzięk rysunku Rafaela. Znał wprawdzie wielu z nich z muzeów wiedeńskich, ale tu przemawiają do niego silniej jeszcze, bo są jakby częścią nieodłączną tego niezwykłego miasta, mają jego barwy i słońce, dumny wdzięk jego mieszkańców, słodycz i ogień oczu weneckich dziewcząt. W Wiedniu są ci mistrze włoscy w gościnie,—tu są u siebie w domu. Cóż dały one Grottgerowi po za chwilami rozkoszy artystycznej? Czy silne wrażenia, jakich doznawał, zwróciły go z drogi, na którą wstąpił? Czy może porzuci swoje jednobarwne kartonowe prace, a wróci znów

do malarstwa? Istotnie jest zwrot pewien, zaczyna bowiem więcej malować, a co ważniejsze — kolory, których używa, zyskują na czystości i sile. I to, pod wpływem mistrzów włoskich, zrozumienie barwy i oświetlenia przeniesie do swoich natchnionych rysunków, pozostanie jednak przy nich wiernie, bo i jakże mogło być inaczej, skoro oddawna są jego umiłowaniem?

Niemniej jednak to „coś z Wenecji“ ujawniło się i żywiej w pracach Artura.

Istnieje legenda starożytna o trzech Parkach, snujących nić ludzkiego żywota. „Parkami“ nazwał Grottger swój obraz, na którym trzy piękne kobiety zajęte są: — jedna — wiązaniem bukietu kwiatów, druga — przesuwaniem wstążki do rąk trzeciej, aby ją przecięła, jak owa legendarna parka, przecinająca nić żywota. Trzy piękne kobiety, wszystko jedno, jak się zowią, mają doprawdy barwę, układ, typ nawet, umiłowany przez weneckich malarzy. Jest jeszcze parę portretów i poetyczna księżycowa noc na kanale weneckim; tu i owdzie czuć wspomnienia włoskie, jakby odzywające się tony zasłyszanej kiedyś melodji; niemniej Grottger zostaje sobą i będzie z nim tak do końca jego krótkiego życia. Umilowania jego były tak silne, iż wszystko, co spotykał na drodze swojej, tylko je w nim utrwalalo i potęgowało.

Od chwili powrotu do Wiednia niewiele już teraz czasu oddziela go od zupełnego i ostatecznego opuszczenia nadunajskiej stolicy. Dom się rozbija. Siostra wychodzi za mąż. Matka wyjeżdża w trosce o los młodszego syna, byłego uczestnika ruchu powstańczego, i oto Artur zostaje znów samotny na wiedeńskim bruku.

Samotny? — no nie; ma towarzystwo; ma go aż zawiele. Pilnują go dobrze wierzyciele różni, trzymają pęta zaległości, w które popadł, świadcząc zbyt hojnie i nieopatrznie rodzinie i rodakom. Próżno z pomocą wiernego towarzysza w tych złych czasach — Fedorowicza, stara się zrzucić te więzy nieznośne. Zawodzą wszelkie rachuby, co krok zapada głębiej w kłopoty materialne, jak w grzędzie, cuchnące mokradło. Ale wśród tej biedy ma i inne towarzystwo, o którym nikt nie wie, prócz niego i białych kartek szkicownika; ci towarzysze — to jego myśli twórcze, które nie opuszczają go nigdy pomimo najnieznośniejszych warunków bytu.

Jest taka książeczka nieduża, gdzie stronka po stronce snują się szkice przeróżne<sup>1)</sup>, widać wędrówkę myśli twórczej, szukającej dróg do wypowiedzenia się. A jedna z tych myśli poszła borem litewskim i wysnuła z niego szereg scen, niestety, tylko w szkicach utrwalonych. Był to bezwątpienia projekt jeszcze jednego cyklu z epoki powstania, zarzucony potem, częściowo zużyty w „Lituanii“. Czem on by mógł być jednak, dowodzi jeden karton wykończony, p. t. „Wedeta“, czyli straż wśród leśnych ostępów. Stoi taki Litwin, sam jak dębczak młody, między pniami odwiecznych drzew; przestąpił nogą pień zwalony, w rękę trzyma gotową do strzału dubeltówkę; oczy bystre z pod futrzanego kołpaka wbił w gąszcze i czeka.

*„Któż zbadał puszcza litewskich przepastne krainy...*

*„Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?“*

---

<sup>1)</sup> Bołoz-Antoniewicz.



A w tych puszczech dziwne się dzieją rzeczy. Słychać nawoływania straży, ciche trąbienie na alarm, czasem krzyk, łoskot i strzelaninę, szepty wspólnej modlitwy, i równe oddechy uspiętego obozu, i trzask przerażający płonącej puszczy... Wszystko to być miało; szkice przepyszne, pełne wyrazu, porobione; plan zakrojony na siedem obrazów gotów, i była by to może druga „Lituania“, gdzie bohaterami by byli nie on i ona; ale on tylko, do młodego dębca-ka podobny, strażnik litewski.

Cóż nam więcej powie ów nieoszacowany szkicownik? Kilka szkiców do „Przejścia przez granicę“. Na ten raz szkic doczekał się wykonania i to w obrazku olejnym. Młoda krasawica z króbką jagód w ręku przeprowadza przez granicę oddział powstańczy. Im tylko głowy widać z po za wzgórza, ona za to w całej postaci, w niepewnym, skradającym się ruchu, z rozszerzonymi strachem oczyma, z wybor- nym ruchem ręki, powstrzymującej zbyt szybkie kroki idących za nią powstańców. Ciągłe, ciągle myśl zwrócona tam do kraju i jego bólów, i czasem aż ostrym zgrzytem odzywająca się z kartek szkicownika. „Tańce polskie!“— Polonez—szereg skutych łańcuchami zesłańców na śnieżnym stepie. Strzelający żołnierze—to kadryl. Walc—wijący się w mękach raniony powstaniec, i dwie przerażone, przytulone do siebie kobiety — to Polka. Co za dziwny pomysł! Ironja w nim gorzka, bolesna, straszna! „Tańczcie Polki!“— zdaje się wolać— jeżeli są takie między wami, jeżeli się odważycie!“

Mimo tej pracy wytężonej, bo i ilustracji nie porzuca, warunki bytu ukladają się coraz gorzej. Na dobitkę odebrano mu stypendjum rządowe. Prace jego nie dogadzają gustom

sfer decydujących. Próżno, przyciśnięty koniecznością, chciałby za byle co sprzedać „Konfederatów“ — swoją „biedną pracę“. Mimo pierwszorzędnych zalet obraz nie znajduje nabywcy. Coraz gorzej, coraz ciężiej, coraz smutniej płynie życie.

Jeden w tej ciemności promień jasny, jeden uśmiech i ten dał mu stary Kraków, dokąd udaje się z początkiem 1865 r., może szukać wytchnienia, może upatrzyć miejsce na nowe gniazdo, gdy stare ruiną grozi. I tu — grono artystyczne przyjmuje go uroczystą na jego cześć wieczerzą.

W sali hotelu „pod Białym Orłem“ zgromadziło się, co Kraków miał wówczas najlepszego z młodych sił. Znalazł się z malarzy i Kotsis, i Matejko, i Cynk; z literatów: Szujski, Belcikowski, Bałucki, Lubowski, Anczyc i jeszcze kilku innych.

„Gdy Grottger wszedł — pisze Belcikowski — gdy się uśmiechnął po swojemu, gdy nas serdecznie uściskał za ręce i bez cienia pozy albo blagi zasiadł między nami, jakby od lat wielu codziennym był naszym towarzyszem, od razu jakiś ciepły duch powiał po całym zgromadzeniu, rozjaśniały od razu wszystkie serca...“

Krótko trwały krakowskie, pogodne dni. Trzeba było wracać do Wiednia, do kłopotów i wierzycieli, do zacnego przyjaciela Fedorowicza, który, jak mógł, starał się odpedzać troski, zaciskające coraz ciaśniejszą obręcz. Jeszcze parę dzieł wybitnej wartości. Wielki karton, przedstawiający posąg Słowiańszczyzny, który wykuwają wszystkie narody słowiańskie w postaci małych chłopiąt. Karton ten złożył Grottger w darze kasynu Słowiańskiemu w Wiedniu, przyczem wypowiedział mowę pełną zapалу i ognia.

I to umiał ten niezwykle zdolny człowiek. Z tego też czasu pochodzi portret własny dziwnie żywy i naturalny. Na kawale zdartej tapety powstał w ciągu paru godzin szkic przepiękny „Pochodu na Sybir“—w układzie innym, niż ów powszechnie znany. I to też idzie między ludzi jako fant na loterję dobroczynną! Czem mógł i jak mógł służył biedny umiłowanym ideom, rzucając na prawo i lewo dary królewskie, on! nędzarz, niepewny, gdzie jutro głowę złoży.

Ostatnie dni pobytu w Wiedniu przechodzą w gorączce i niepokoju. Świecą pustkami ściany pracowni. Zbyto wszystko, co się zbyć dało. „Modlitwa konfederatów“ opłaca baronowi Drasche czynsz za mieszkanie i pracownię. Teki, pełne szkiców i rysunków, przechodzą w ręce wierzycieli. Rozleciały się po świecie te drobne kartki, jak liście wiatrem gnane, rozsypały się gdzieś—na przepadłe.

Wczesną wiosną opuszcza Grottger Wiedeń, uwożąc z niego sławę, nadszarpnięte zdrowie i biedę taką samą, z jaką do niego przybył przed laty dziesięć.

Gdybyśmy wzięli w rękę ostatni wiedeński szkicownik Grottgera i przerzucili jego kartki, zobaczylibyśmy na pierwszych jego stronicach wspomnienia życia wielkomiejskiego, kolekcję typów ulicznych: modne damy, wiedeńscy hulacy i brukotłuki; a bezpośrednio potem, — jakiś widoczek sielski, sianokosy, długowłosi pastuszkowie, hoże dziewczuchy<sup>1)</sup>. Zdrowe, rześwe powietrze polskiej wsi wieje z tych kartek

<sup>1)</sup> Bołoz-Antoniewicz.

i ożywczą falą wpływa do nadwątlonych piersi skolatanego tułacza. Śniatynka — wioska St. Tarnowskiego — miała się stać ważnym etapem w artystycznych wędrówkach Grottgera, a zdrowie moralne i fizyczne sphywa na niego z tych wzgórz podkarpackich, gdzie go dobre losy zaniosły.

Strząsnął z siebie wielkemiejskie pleśnie, strząsnął pamięć złych czasów, strząsnął wreszcie mus codziennej zarobkowej pracy, która w końcu byłaby zaciążyła na jego artystycznych wzlotach—i całą duszą zwrócił się do natury, niewypuszczając z rąk szkicownika i przygotowując się do nowej pomnikowej pracy. Oprzytomniał, wszedł w siebie, i w boskiej ciszy wiejskiego ustronia rzuca znamienne pytanie: „Kto jestem i dlaczego jestem? czym artystą i apostołuję dla ludzi u Bóstwa, czy dla Bóstwa u ludzi?“ Komu ma oddać skarb, który w sobie nosi, co robić, żeby iść naprzód, wciąż naprzód, nie dać się porwać wirom i wstecznym prądom? „Mnie stać nie wolno, ja lecieć i porywać muszę!“ I zmagając się, zrywa do nowych lotów, chociaż gnębi go jeszcze zmora wiedeńskiej niedoli i niedomagania fizyczne.

Zima dopiero przynosi pożądaną zmianę.

„Jestem dobrej myśli — pisze w grudniu tegoż roku do Fedorowicza — troski i zmartwienia staram się odepchnąć od siebie i dlatego ciągle jestem zatrudniony. Od czasu do czasu wśród ciszy wiejskiej i głuchoty zimowej stanę w oknie i spojrzę na świat Boży, przyglądnę się wesołym srokom, krzykliwym i niezgrabnym gawronom, posłucham poświstu mroźnego wiatru, w końcu wpatrzę się w smutne, szare obłoki i mam tyle przed oczami, a tak wiele w sercu, że bym się z nikim nie zamienił“. I słusznie, bo czyż może być większa rozkosz, jak czuć w sobie siłę twórczą?



POD MURAMI WIĘZIENIA.



Ma też coraz coś nowego na sztaludze.  
 Jest więc „Szkółka wiejska“, śliczny obrazek olejny. Gromadka długowłosa w sukmankach, wpatrzona w uduchowioną twarz nauczyciela, wspartego na tablicy, przy której stoi malec z zadartą płową głowiną. A w głębi sali szkolnej, jak cudowne zjawisko, Matka Boska Bolesna z ciałem Chrystusa na kolanach. Złote tło obrazu jakby rozwarte niebo nad tą gromadką polskich dzieci.

„Pożegnanie“ i „Powitanie“— znowu dyptyk. Na pierwszym obrazie powstaniec żegna się z ukochaną, ona mu karkę do czapki przypina: — „więc już dzisiaj i może na zawsze?“ Dzisiaj pójdzie w bój z jej imieniem na ustach— jej—Polski! Bo tacy oni wszyscy wówczas byli. Ale uniesie ze sobą i ten obraz drogi, w który wbił oczy rozkochane, jakby go chciał utrwalić na zawsze w oczach, duszy, sercu...

*„Straszne słowo to słowo—ojczyzna.*

*Wszystko rwie się, każdy węzeł pęka,*

*Gdy nad nami zjawi się jej ręka,*

*I wołając ku sobie—dla siebie.\**

*O, ja Bogu bym się urwał w niebie!*

*Pójdę za nią, wróce,—kocham ciebie!“*

Poszedł i wrócił. Oto zjawia się w obrazie drugim. Noc księżycowa, dziewczyna w bieli, do ręki jej przywarły wargi klęczącego u jej nóg bojownika. Pusty rękaw czamarki zwisa od ramienia...<sup>1)</sup>

Są i jakieś pomysły większej kompozycji, jakiegoś wielkiego obrazu z Królową Korony Polskiej i postaciami Ka-

<sup>1)</sup> Oba te pełne poezji obrazy są własnością muzeum narodowego w Krakowie.

zimierza Wielkiego, wiodącego lud do jej stóp; i Kordeckiego na czele rycerstwa; są i przetwarzające się szkice do puszczy litewskiej, która ciągle jeszcze czeka skończonej formy. I sam Grottger zdaje się czekać czegoś, jakiegoś zaklęcia, które by wyzwoliło wszystkie nagromadzone siły twórcze.

I przyszło słowo zaklęcia, a była nią miłość, pierwsza prawdziwa, głęboka miłość!

Na balu „strzelnicy“ we Lwowie, w sztucznym blasku kinkietów, wśród dźwięków muzyki zjawiała się ta, która miała mu być Beatrycą w dalszej drodze żywota. Była nią młodzieńka, śliczna, zaledwie szesnastoletnia panna Wanda Monné.

I rozpoczyna się okres dziwny w twórczości Grottgera; jakby iskra padła na nagromadzone prochy. Po kilku tygodniach nieobecności, po kilku tygodniach pierwszych upojen, wraca do Śniatynki i wnet jest „już na dobre przy robotcie“. Działają w nim dwie siły: miłość, która daje skrzydła, i wola, spotęgowana gorącym pragnieniem stworzenia niezależnego bytu dla siebie i ukochanej, usłania własnego gniazda i ozłocenia go blaskami sławy. W ciągu tego jednego roku powstaje ogromny szereg dzieł pierwszorzędnej wartości. Pobudzona wyobraźnia pracuje ze zdwojoną siłą, a wysiłkom tym nie mogą nieraz sprostać siły fizyczne.

Z mgieł i marzeń o mówiącej różnemi głosami puszczy litewskiej wyrasta dzieło, przewyższające wszystkie dotychczasowe doskonałością formy artystycznej. Z uczucia świeżo zrodzonego wyrasta w niem obok mężczyzny bojownika—idealna, męczeńska postać kobieca. Cykl ten, ujęty w sześć



obrazów, nazwał autor „Lituania“ i opowiada w nim, co się działo w kniejach w owym pamiętnym roku walki i ofiary.

I prowadzi nas najprzód do onych puszczy litewskich, które myśliwiec nawet „zna ledwie po wierzchu“, do tych ostępów, gdzie:

*„Są miejsca, nigdy człowieka nie sgnączone krokiem,  
Jak zaklęte, okryte tumanu obłokiem...“*

gdzie szumi puszcza odwieczna, gdzie pnie omszałe stoją jak kolumny jakiejś pogańskiej świątyni, a przez tę puszczyę ciągnie mgliste widmo śmierci... ciągnie...

*„I tylko rąbek powleka się długi  
Po pniach, jak opar, co idzie ze strugi...“*

Śluchajmy dalej tej baśni litewskiej, dajmy się wieść ręce artysty-czarodzieja.

Czy widzicie wnętrze chaty litewskiego chłopca? Ćmi się ogarek świecy; on sam usnął, czekając wezwania. Czy widzicie w okienku małym rękę, która puka w szybkę?

*„O, moi ludzisz różne ja widziata  
Ręce na świecie, od kiedym jest żywa,  
A żadna przecie nie była tak biała  
I taka jasna, taka wyraźliwa,  
Jak ta, co przyszła nocą budzić śpiące,  
I miała palce, jakby wołające  
Na wielki Boży sąd...“*

To znak, już czas! Porwała się kobieta, budzi śpiącego... Już czas, jeno dubeltówkę na ramię, toporek za pas... Budzi, a oczy przerażone zwraca w kąt izby, jakby jej gdzieś mignęło owo widmo śmierci, przez puszczyę cicho ciągnące.

Te oczy! Mistrzem nad mistrze był Grottger w odtwarzaniu wyrazu oczu. Takiej głębi, mocy spojrzenia nie osiągnął żaden z artystów polskich, a bodaj i świata całego.

Poszedł. Widzicie go w obozie powstańczym; klęknął i przysięga przed tym Ukrzyżowanym, którego obraz wznosi wysoko ręka zakonnika. Przysięga wódz w imieniu tego bezimiennego zastępu, który w księżycowej poświacie klęknął i schylił czoła.

W odwiecznej puszczy bój śmiertelny. Posłuchajmy, co nam o tem powie sam autor w liście swoim do narzeczonej. Pozowali mu do tej pracy przyjaciele, on sam sobie wreszcie i cieszy się, że praca dobrze idzie.

„Dzięki Bogu, od kilku dni serdecznie pracując, mam już pierwszy, niedawno zaczęty, rysunek na dokończeniu. Stach (Tarnowski), Sarnecki i twój kot (Grottger) wyrosli na nim jak żywi, wszyscy najokropniej nasrożeni, bo przed nimi wróg najzaciętszy, a w ręku posoką złane topory i miecze“. Rwą naprzód w szalonym pędzie, tratując wszystko po drodze wśród kłębow dymu i ujadania psów, które rozwścieczone rwą się ze smyczy.

*Drugie kury już zapięły,  
W pustkowiu huka sowa,  
A Stachowej sen zabrały  
Pogłoski z pod Grochowa.*

*W izdebce coraz się mroczy,  
Dogasa szczapka smolna,  
I zmęczone płaczem oczy,  
Zasklepiły się zwolna.*

*Trzeci kogul północ wypiał  
Mignęło przed okienkiem,  
Czujny odzwierek zaskrzypiał,  
Wchodzi Stach z brzękiem, szczękiem.  
Zrzucił czapkę, siadł przy stole,  
Mito patrzy na żonę;  
Błysło z pieca:—krew na czole,  
Całe piersi skrwawione.*

Tak opisuje zjawienie się ducha zabitego męża poeta Seweryn Goszczyński. Trochę inaczej opowiada to samo Grotter.

Kobieta nie śpi; czuwa i leje kule dla powstańców; rzuciła szczyptę i dziecię do piersi przyciska, niby tarczę przeciw udręce oczekiwania. „Mignęło przed okienkiem“, ktoś wszedł... porwał się pies i słucha... Ktoś wszedł i stanął cicho u progu—Duch... „błysło z pieca, krew na czole, całe piersi skrwawione...“

W kopalniach Sybiru, przy świetle kaganka, w więziennej odzieży, ona—męczennica, przykuta do tacek, zwraca twarz wynędzniałą i wychudłe ręce wyciąga do tej Pocięzycielki strapionych, widzi ją słodką, anielską w wieńcu gwiazd, w aureoli niebiańskiej światłości. „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...“

Skończona baśń o tem, co niegdyś słyszały puszcze litewskie.

Gotowe dzieło zawozi Grotter do Krakowa, gdzie zostaje wystawione. I dziwne! najdoskonalsza ta praca przyjęta zostaje dość zimno przez krytyków i publiczność. Rozgoryczony tem Grotter opuszcza Kraków, ażeby rozpocząć niespokojne, cygańskie życie. Przerzuca się z miejsca na miejsce, z myślą ciągle zwróconą do narzeczonej, z ciąglem

pragnieniem zobaczenia jej. O ile są od siebie zdala zarzuca ją listami, w których spowiada się ze wszystkich uczuć, pomysłów, zachwyty. Listy te, w posiadaniu p. Wandy Młodnickiej<sup>1)</sup>, są jakby dalszym ciągiem dawniejszego dziennika i zawierają nieoceniony materiał do przyszłych biografii Grottgera, zważywszy, iż pisał je w ciągu dwóch lat najpiękniejszego rozwoju swego talentu. Przez kilka miesięcy żyje teraz w jakimś szalonym wirze pracy, podnieć, zmiany miejsc.

Z tych to czasów pochodzi kilka portretów narzeczonej; jeden zwłaszcza, oryginalny, przedstawia ją w profilu, a po za nią na ścianie profilowy cień twarzy Grottgera. Cieniem jej chciał być i cieniem też się stał w istocie.

Do tego też czasu odnieść należy rodzaj albumu p. t. „Wieczory zimowe“, poświęcony „p. Wandzie Monné“, do którego zalicza się część ogromnego dorobku tego niezwykłego roku, obejmujący szereg luźnych kartonów rozmaitej treści, wykonywanych to tam, to owdzie, przerywanych przejazdami z miejsca na miejsce.

Myśl jego twórcza, naprężona do ostatka, zawędrowała aż w śnieżne tundry Sybiru i wywołała stamtąd szereg obrazów sybirskich. „Rekreacje na Sybirze“— trzech powstańców, o dziwnie uduchowionych twarzach, ciosa krzyż, na którym wycięto datę 1863. Na drugim kartonie niosą „swój“ krzyż, pod którym uginają się ich barki, a nogi grzęzną w wiecznych śniegach. Brodaty skazaniec ciosa bryłę skalną. Co myśli w tych długich, długich latach katorgi? czy

---

<sup>1)</sup> Wanda Monné, po śmierci Grottgera, poślubiła malarza Karola Młodnickiego.

woła w nim bunt: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga! z Bogiem—i choćby mimo Boga!“ Czy mieszka cicha rezygnacja i nieść będzie swój krzyż do końca życia? Dziwne, zaczarowane obrazy, które bezmyślnym każą myśleć, obojętnym—czuć, nieczułym—plakać. Takie one wszystkie te—„grotterowskie“. Te trzy — to niby cykl jeden więcej, do którego można by jeszcze dołączyć „Pochód na Sybir“, później już wykonany, jedno z najcenniejszych dzieł Grottergera.

O, ale nie zawsze takie ponure i tragiczne obrazy snuje wyobraźnia artysty! Duszę ma teraz zbyt jasną i promienną i jak sam pisze: „z każdym dniem staje się lepszym“. Z tej jasności, z tego słońca w duszy wypływa szereg obrazków „sielskich i anielskich“, obrazków, gdzie treścią jest dziecko,—słońce istnień ludzkich.

Oto pod starą lipą zasiadł wojak, kaleka i prawi dwom wpatrzonym w niego chłopaczkom, jak to kiedyś szedł „na wojnę“,—jak to „grały surmy zbrojne“, jak to „grały trąby złote, na zwycięstwo, na ochotę“. A na drugim obrazku „U grobowca Kościuszki“ na Wawelu stanęła matka z chłopczykiem. Na sarkofag pada jasne światło pochodni, a dziecko przywarło świeżemi usteczkami do marmurowego wizerunku Naczelnika.

I znowu na chórze kościółka śpiewa pacholę o lnianych włosach, śpiewa „jak ptaszęta boże“, Jezusowi i Marji na chwałę. Stary brodaty pielgrzym wskazuje młodemu chłopczynie jakieś drogi, jakieś nowe zorze, a chłopiec aż ręce złożył w zachwycie. W twarzy pielgrzyma jest coś z proroka, a coś z anielstwa w twarzy dziecka. A ów niezrównany portret dwóch dziewczynek w muślinowych, białych sukienkach, bawiących się z wielkim dogiem! To małe hr.

Dzieduszyckie, które miały szczęście być portretowanymi przez Grottgera w czasie jego krótkiego pobytu w gościnnym domu ich rodziców. A te dwoje maleństw, którym niania opowiada „straszne bajki!“ Tułają się do siebie, jak pisklęta w gniazdku, wlepiwszy w opowiadającą wystraszone oczęta. A owe bajeczne „Córki króla Popiela“, a „Kołędnicy“ wiejscy. Te dwoje ślicznych dzieci, towarzyszących matce, która oto padła na kolana pod murem więziennym kryjącym, jak płyta grobowa, jej męża, a ich ojca; ach, a wreszcie ta oto „duża osoba“, rysowana już w Paryżu, co to stłukła wazon i stoi wciśnięta w kącik, z buzią w „podkówkę“ w niezrównanym ruchu dziecka, oczekującego kary.

Jak cudne bajki byłby opowiedział polskim dzieciom ten niezwykle i niezrównany znawca duszy dziecięcej! bo, żeby tak dzieci i dla dzieci rysować, trzeba dziecko znać i kochać, a kochał je też Grottger całą mocą swego gorącego serca. „Ach, jakie to są rozkoszności te masiope dziewczątka!—pisze podczas malowania portretu małej dziewczynki.—Gdyby to były moje, to szalałbym z uciechy“.

Gdzie, kiedy były te prace wykonywane, trudno ustalić. Zaczynał je w jednym miejscu, kończył w drugim, przenosząc się ze swoją teką to tu, to tam.

Czas pewien w ciągu lata spędził w Grybowie, u wujostwa p. Monné, u boku swego „anioła“. Podczas tych najszczęśliwszych chwil życia swego nie przestaje pracować. Tu rysuje „Cygana“, niektóre kartony obrazowe, portret narzeczonej w zasłonie tureckiej na twarzy. Wyjeżdżając, wozi oryginalną pamiątkę, otrzymaną w darze od ukochanej; jest to ogródek maleńki, zasadzony jej ręką w drewnianej skrzyneczce. Poetyczny ten dar wozi ze sobą wszędzie,



„WOJNA” — LOSOWANIE.

„Wojna” - 1939-1945





dbając o roślinki równie troskliwie, jak o swoją tekę rysunkową.

„Ale wir życia porywa go znowu i niesie.

Trzymiesięczny pobyt w Porębie u p. Bobrowskich to istotnie jakieś wulkaniczne rozpętanie wszystkich sił duchowych, rozsadzających słabe ciało. „Co to będzie z tego wszystkiego, co mi się po głowie marzy — nie wiem...”

A marzyła mu się rzecz wielka, obejmująca już nie tylko naród swój, ale ludzkość całą. Rodził się wtedy cykl wszechświatowego znaczenia, p. t. „Wojna”—myśl, która w głowie Grottgera tkwi od lat kilku i teraz zaczyna się oblekać w formy widome. Część obrazów tego cyklu wykonał Grottger w kraju, część w Paryżu, gdzie pracę swoją ostatecznie ukończył i dopełnił. Dlatego też opis tego arcydzieła odniesiemy już do czasów paryskich, aby nie przerywać ciągu obrazów, tak jak je autor ostatecznie ułożył.

Obok zaś pracy twórczej, która rozwija się w jakimś szalonym, przyspieszonym tempie, znajduje Grottger czas na pisanie komedji, w której sam gra rolę „śmiesznego, starego profesora filozofii“, na urządzenie obrazów żywych, rysowanie dekoracji do ozdobienia sceny. Stąd pochodzą dwie piękne postacie muz, Talii i Melpomeny, uosabiających muzykę i sztukę dramatyczną.

W tym czasie też zbliża się z muzykiem polskim—Żeleńskim, upaja się muzyką, stwierdzając, iż nie idzie mu praca z powodu rozdrażnienia, wywołanego „cudną grą Władka Żeleńskiego“.

Wszystkie zasoby duchowe pulsują w nim z niebywałym natężeniem. „Siły moje fizyczne jakże są słabe w porównaniu z siłą moralną, która je niszczy“. Znamienne te słowa

napisał kiedyś, mając lat ledwie osiemnaście. Jakże, niestety, były prorocze!

Złowrogie widmo, krążące koło niego od czasu krwotoku, któremu uległ w Śniatynce, to oddala się, to zbliża, a teraz stało tuż przy nim, niewidzialne i nie odegna go nawet jasny obraz Beatryczy.

*„Jam trawa, co nie czekała  
Razu kosy siekącej,  
Alem przed czasem zmarniała  
Ogniem plagi gorącej...”*

Marniał, palił się, spalał, jak pochodnia.

Dawno upragniony wyjazd do Paryża tkwi ciągle w myśli i zamiarach Grottgera. Ciągnie go zachód, zaciekawia jego kultura, a wstrzymuje nie tylko mus rozłąki z ukochaną, ale i jakaś nieokreślona obawa, jakby coś niewiadomego stało za jego progiem. Cóż się tedy stało, iż teraz nagle daleki ten zamiar zdaje się być blizkim urzeczywistnienia? Oto przychodzą do niego listy z Paryża; przychodzą liczne, nagłące o jaknajszybszy przyjazd, obiecujące sławę, zapewniające powodzenie materialne, łudzące tysiącem pojęt. A czegoż więcej pragnie rozbitek życiowy, jak zdobycia tej podstawy bytu, aby na niej zbudować wymarzony przybytek szczęścia dla siebie i dla „Niej?” Opuszcza tedy gościnne Porybę. Jeszcze kilka jasnych chwil we Lwowie w towarzystwie narzeczonej, ostatnie pożegnania i 22 grudnia oczy Grottgera po raz ostatni spoczną na tym szmacie ziemi polskiej,

*„Wokrag którego puszcza czerni się bezbrzeżna,  
A nad nią we mgłach błyszczy Matka Boska Śnieżna”.*

Odjechał; a los jego poszedł za nim wiernie. Symboliczne ciernie idą aż tutaj. Nikt go nie czekał w Paryżu, prócz niegodnego hulaki, który, straciwszy cały swój zasób pieniężny, okłamał i złudził łatwowiernego artystę, ograbił z ostatniego grosza i odjechał, a Grottger zostaje znów na bruku wielkiego, obcego miasta bez oparcia, bez środków do życia. Więc znów walka o kawałek powszedniego chleba, mieszkanie na poddaszu, gdzie bywa i głodno i chłodno, znów praca zarobkowa, która zresztą idzie mu teraz niezwykle szybko.

A Paryż tymczasem roztacza przed nim wszystkie powaby wielkiej stolicy, jedynej na świecie, ze swemi wieżycami odwiecznych kościołów, kopułami muzeów, pokrywającymi nieocenione skarby sztuki, z tryumfalnymi bramami i bielejącymi marmurami posągów. A obok tego ze swemi bulwarami, zatłoczonymi od rana do późnej nocy, z łoskotem omnibusów ogromnych, jak arki Noego, z tem życiem ulicznym, które wre, tryska, wylewa się za brzegi.

*„O czem tu marzyć na paryzkim bruku,  
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku...“*

O czem? A ot o czem. I czyż to nie dziwne tam — w Paryżu? „Chcę zrobić rysunek — pisze Grottger — przedstawiający ten moment, kiedy właśnie na stację przybył etap, złożony z biednych mizeraków i wyciągnięty w długą linję... po nad nimi wszystko zimne i ciemne, pod nimi białe, a przy nich żałobnie i czarno!“ I cieszy się, że będzie odtwarzał ten „cały szereg owych postaci, mizernych z pozorów, a tak wspaniałych na duszy!“ Jakoby w dni pięć wyrosły te twarze bolesne, jak żałobne kwiaty: i ten oto pierwszy o dzi-

wnych, dramatycznych oczach, tulący do siebie towarzysza, który padł z osłabienia; i ten, tam dalej, dziarski jeszcze, w rogatej czapeczce, strzelający nienawistnym okiem w stronę gromady oprawców; i ono pacholę, trzęsące się z zimna w swoim zadługim kożuchu; i ten inteligent, o silnej duszy, a słabych dłoniach. Stoją murem wśród wrzasków kozactwa i dzikiego ujadania rozżartych psów, któremi ich poszczuto ku większej uciezce żołdaków. Nikt z nas tego nie widział, ale, patrząc na ten obraz, czuje się, iż to tak bywać musiało; jest w tem prawda, bóla, jak otwarta rana.

Ów „Pochód na Sybir“, nabyty przez hr. Działyńskiego, jest najpiękniwszem dziełem z cyklu sybirskiego. Głęboki wyraz ma też karton, p. t. „Dwa pokolenia“—ojciec i syn, niby rok 1831 i 1863; obadwaj jednaką ojczyźnie składają przysięgę, jednaką ofiarę krwi i życia.

Przybycie Grottgera do Paryża nie mogło przejść nieopstrzeżenie w kolonii polskiej. Niebawem zbliża się z Marcelim Krajewskim, Wł. Żeleńskim i kilku jeszcze Polakami, zamieszkałymi w Paryżu. Nie brak mu i rozrywek. Czyż może braknąć ich w Paryżu? Ale, kto wie, czem są publiczne rozrywki paryskie, tego nie zdziwi, iż nie trafiają mu do gustu. „Stałem tam, jak słupek — pisze pod wrażeniem jakiejś wesołej zabawy—wytrzeszczałem oczy i nie wierzyłem im. Z tego przerażenia ocknąłem się dopiero, gdy kadryl był skończony. Wtenczas mnie serce zabolęło, myślałem o ludziach uczciwych, przypomniałem sobie nasze polskie kobiety, w końcu ciebie... i w duszy zapłakałem...“ W sercu, w którym króluje czysta i pocziwa miłość, w duszy przepojonej wizjami rzeczy wielkich, niema miejsca na czcze, blahe wybryki paryskiej swawoli.

A i Francuzi nie znajdują łaski w jego oczach. Razi go ich hałaśliwa żywość, nie podobają pompatyczne nabożeństwa, gdzie widzi „ludzi-gapiów“ i sztuczną pobożność. Podziwia ich cudne zbiory obrazów, ale sztuka francuska nie całkowicie go zadawalnia. Szuka w niej duszy, a znajduje formę. „Władanie pędzlem, to nie jest jeszcze wszystko“— pisze. — Z obrazów, które ogląda na dorocznej wystawie, gdzie znajduje i spory szereg polskich dzieł, niewiele mu się podoba. Matejkę podziwia, ale to też nie jego rodzaj te żywiłowe, potężne, jak pieśń rycerska, obrazy. Nie rozumieją się te „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“. Jedyny obraz, który zwrócił jego uwagę, to Gersona „Góral na wędrowce“. Rzewny, swojski obrazek mówi do niego silniej, niż wielka obca sztuka.

Niema wreszcie i zbyt wiele czasu na oddawanie się przyjemnościom i rozrywkom. „Wojna“ i rysunki zarobkowe pochłaniają cały czas. Rysuje od rana do późnej nocy, z jedną myślą w zgorączkowanej głowie, z jednym pragnieniem w chorej piersi—lecieć „do kraju i do niej“. Ilość godzin pracowanych dziennie dochodzi do przerażającej liczby—szesnastu! Czy wy „zjadacze chleba“ wiecie, co to jest pracować twórczo, ile jest w tem krwawego wysiłku? Że tyle godzin takiej pracy to—śmierć. A niema przy nim nikogo serdecznego, który by mu, położywszy dłoń na czołe, powiedział—„dość!“ i którego by się on posłuchał; i nikogo, kto by siłą miłości odegnał widmo zatrąty.

A w świecie widm i upiórów płyną mu teraz godziny—tygodnie. „Wojna“—„spokoju mu nie daje“. Ożywają coraz nowe obrazy, widzi je, czuje, otaczają go, żyją w nim i obok niego, żyją już wtedy, w onych szalonych porębskich

czasach. „Pomyśl teraz, a raczej posłuchaj:—pisze wówczas do p. Monné.—Gdyby malarz naraz wezwał swą Muzę, albo swą Beatriks i powiedział jej: Prowadź mnie tam, gdzie wre wojna, gdzie jej stanę oko w oko, gdzie mnie ona zasmuci, zastraszy, przerazi i obrzydni!“ i gdyby go ona poprowadziła i pokazywała coraz nowy widok „a on stał, tulił się do niej—smucił—straszył—przerażał i wzdygał?“ I stoi on sam ze swoją białą muzą, a przed nimi przeciąga widmo wojny! Kobieta uzbrojona, z żagwią płonąca na galopującym rumaku, a przy niej widmo śmierci, a obok—mór, a za nią ciągnie rozpacz i niewola; i płynie ten korowód upiorów, a on stoi, i patrzy, i smuci się, i straszy. Miała to być allegorja „Wojny“, jakby wstęp do cyklu—introdukcja. Zostało to jednak jako obraz oddzielny. I oddzielną też została kompozycja ciekawa niezmiernie, którą tylko z opisów znamy. Była to walka szkieletów, ubranych w korony „wojna dynastyczna“; czem ona się stała dla ludzkości, tego i mówić nie potrzeba“.

A teraz smutna sielanka. „Pierwszy obraz „Wojny“ zaczynam jutro, a będzie on przedstawiał kilkoro ludzi różnego stanu i wieku, stojących na podsieniu i patrzących w stronę, gdzie na niebie wieczorem ukazał się złowrogi kometa, zapowiadając straszne klęski i nieszczęścia“. I jest ów obraz, rysowany na żółtawym papierze białą i czarną kredą. W oddaleniu gaśnie zorza wieczorna, a w ganku, oplecionym zielenią, cała rodzina utkwiała oczy w komętę. Jest i stary dziaduś, i babunia modląca się, i młoda dziewczyna, patrząca więcej z ciekawością, niż niepokojem i młoda matka, zadumana nad losem dwojga dzieci, które dziś ma obok siebie spokojne i syte; a jutro?...

Jedyny to „Grottger“, którego posiada Warszawa w oryginale w zbiorach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. A warto obejrzyć go uważnie, ten skromny obrazeczek, giący między barwnymi, efektownymi obrazami, taki mówiący „cichym głosem, jakby tylko na ucho“ rzeczy jak świat wieczne.

I ten obraz nie wszedł do cyklu; pozostał jako oddzielna kompozycja. A cykl tymczasem rośnie, potężnieje, przetwarza się.

*W jednych my cierniów chadzali koronie,  
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,  
I z jednych trucizn piekielnego źródła  
My pili razem, o Beatriks moja!*

Natchnione strofy „Przedświtu“ Krasińskiego kołysały wyobraźnię Grottgera w epoce, gdy wizje „Wojny“ spać mu nie dawały. I wyrasta ona przewodniczka, ona muza biała, biorąc rysy tej, którą ukochał i wiedzie go przez wszystkie okropności wojny i pokazuje mu rozpacz i nędzę, i głód, i pożogę, i świętokradztwa, i zdrady. Widzi, jak płonie świat „miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą „jak Dant za życia“ przechodzi „przez piekło“.

W tem dziwnem zestawieniu mówiły ze sobą dwa wielkie duchy. Marzenia biorą na siebie ciało i ożywają w szeregu obrazów najpiękniejszego z poematów Grottgera.

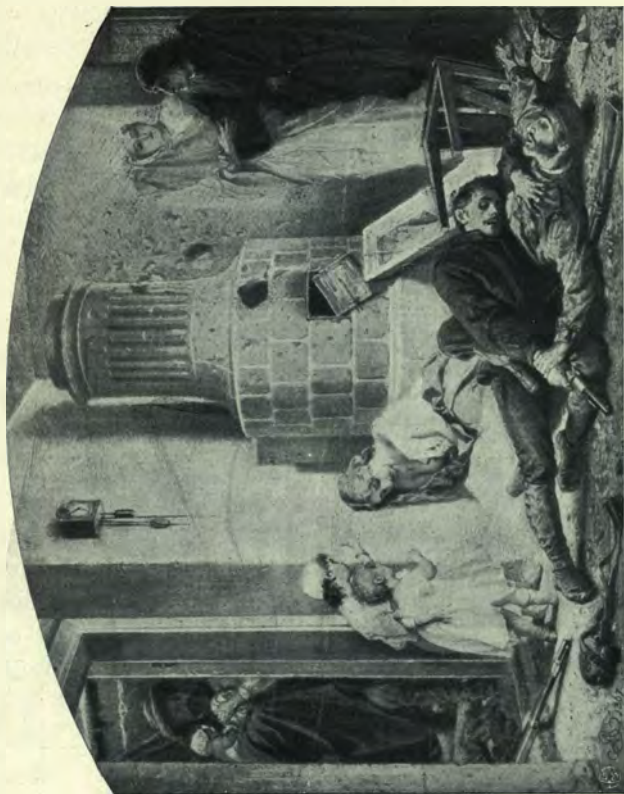
Oto co nam mówi on sam o obrazie pierwszym, iż: „przedstawia artystę w chwili, w której, siedząc przy pracy, głęboko się zamyślił i, zakrywszy sobie oczy, zaczął w duszy wywoływać obraz myśli swoich“. Dodajmy do tego w obłokach postać Beatryczy w białej, greckiej szacie, wyciągająca rękę do artysty: „Pójdź ze mną w dolinę łez!“

I poszedł za swoją Beatryczą i będziemy ich widzieli tych dwoje, przesuwających się we wszystkich obrazach, jak potwarzająca się zwrotka muzyczna, której się czeka, pragnie, bez której niepodobna by sobie wyobrazić „Wojny“; bez tych dwojga, jego—w długiej, czarnej, faldzistej szacie, jej—w klasycznej todze. „Beatryks moja nie może być w kry-nolinie“—pisze żartobliwie Grottger. Oczywiście!

„Był to kometa dziwnej wielkości i mocy...“ a w jego „krwawe oko“ i ogon złowróbnny wpatrzyła się gromadka mała. Taż sama babunia staruszka, przy niej biała dziewczyna, nie ta spokojna i zaciekawiona, ale tuląca się do staruszki z dreszczem trwogi. Para narzeczonych w głębi i dziecko w koszulince, oparte o kolana babci „patrzy za przykładem starszych na gwiazdę z ogonem“. A z boku, w zaroślach artysta i genjusz jego. Oczekiwanie czegoś, co przyjąć ma.

I przyszło. Pierwszy akt tragedji, której na imię—wojna. Losowanie. „Przez dzień dzisiejszy— pisze Grottger— wyrósł przecież bohater mojego terażniejszego obrazka. A powiadam ci, taki śliczny, że jeszcze nigdy podobnie piękne-go młodzieńca nie stworzyłem. Włosy ma długie, kręcone, a czarne, jak heban; oko podłużne, przymrużone, niby obojętnie z pod długich czarnych rzęsów ku urnie złowrogiej wyziera“, a dalej: „Przybyło dwóch synów Marsa, siedzących za stołem: jeden tak głupkowato, a przytem drwiąco podśmiechujący się, drugi zaś, starszy, kwadratowy, krótkokarczasty, z gęstą strzępiastą brodą, z okiem, jak u starego żbika, a wyrazem twarzy pełnym surowości i srogiej bezwzględności żołdackiej“.





„WOJNA” — NIC PRÓCZ NĘDZY.



A tam u drzwi—matka...

*„...stała u progu, chce do syna...*

*Puśćcież ją, ludzie! Niech rwie siwe włosy,*

*Niech łzami krwawych źrenic swych przeklina*

*Was i tę urnę i dzień ten i losy,*

*Niechaj na syna patrzy do ostatka...*

*Puśćcie! wszak każdy matkę miał... to matka!...*

Odjeżdża—on, czy inny, wszystko jedno. „Sztandar ich furka i bryka, jakby wesołością swoją urągał tym posepnym żelaznym rycerzom“. Jeden odwrócił się z konia i ręką oraz spojrzeniem zęgnął ukochaną, a „w środku obrazu kobieta młoda i piękna konwulsyjnie przycisnęła do siebie biedne maleństwo owite...“ „głowę jej w tył zwiesiłem, jakby to ostatnie zawołanie odjeżdżającego męża na wskroś jej serce przeszło...“ „Kilka kruków z za krzaków wzniosło się wysoko i leca, bo rycerzy wyprzedzić muszą. Oto cały obraz“.

Pożoga! „miasteczko się pali; całe morze płomieni rozwścieczonych, jak szalone wzbija się pod obłoki...“ „Nic nie ocaleje, wszystko stracone! To też biedni mieszkańcy długim szeregiem uchodzą z miasteczka, każdy co ma najdroższe ze sobą zabrawszy“. A na przodzie genjusz „biały, smutny, siedząc na odłamie skały, podparł się lewą ręką...“ a u jego nóg artysta-wędrowiec, odwrócił oczy; zawiele ludzkiej niedoli! A za nimi chmury dymu, morze ognia... Pożoga! pożoga!

A za nią w trop—głód. „Pomyśl sobie, że jesteś w lesie, przy samym krańcu jego, skąd, rzuciwszy okiem po okolicy, dostrzeżesz w oddaleniu pałace się miasteczko...“ pod wiel-

kiem drzewem siedzi matka, a na ziemi dwoje prześlicznych dzieci; chwycono je z łóžeczek w koszulinach, owinięto czemkolwiek, co się pod rękę nawinęło. „Matka płacze, bo kto wie, czy tam męża nie zostawiła, a dziatwa głodna prosi a prosi chleba. Młode dziewczę wyjęło z koszyka bochenek i oto rozdziela go między biednych zgłodniałych. Staruszek wsparł się na wychudłej ręce i zadumał bardzo“. Prosty, za serce chwytający opis; czy mamy szukać innych wyrazów po nad te, które skreśliła ta sama ręka, która obraz stworzyła?

A teraz znowu „mistrz tony natęża, i nagle puścił fałszywy akord, jak syk węża!“ Zdrada! Pochwycono zbrodniarza, sprzedawczyka; nie bał się swego czynu, a teraz ze śmiertelnem przerażeniem w oczach, obszukiwany przez dwóch żołnierzy, widzi jak dowody jego zbrodni czyta starszyzna pułkowa. W obrazie tym próżnobyśmy szukali Grottgeraliryka; jest w nim siła, prawda przerażająca, fatalna, ohydna w swojej nagości. I ten inny Grottger, spogląda jej w oczy i woła do ludzkości—„patrzcie!“

I pójdzie dalej i da nam obraz następny, gdzie ludzie bliźni pastwią się nad ciałami poległych, zdzierają z nich odzież, aby się sami przyodzili. Muza twarz odwróciła, wędrownik tuli się do niej, przerażone oczy zwracając na pobojuwisko. Ludzie, czy szakale?

I nic tylko nędza. Ten dom zburzony, gdzie:

*„I ci, co bronili i ci, co się wdarli,*

*„Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli“.*

Leżą pierś na piersi, w ostatniej walce—pojednani, w ostatnim, zbrodniczym uścisku—zastygli. I znów odzywa się nuta

liryczna, rzewna. Te dwoje dzieci, białe niewinne aniołki, rączynami się objęły, szukają matki, znajdują — trupa.

A wojna idzie; a przy niej — śmierć, a obok — mór, a za nią — rozpacz i niewola, i niemasz, czego by nie podeptała.

Kruchta kościelna, z której wojska najezdnicze uczyniły szulernię; stoją bębny, na których przed chwilą siedzieli gracze, rozrzucone karty, dymiąca jeszcze fajka, a ponad tem „do filara na krzyżu przybity Pan Jezus. Rozciągnął ramiona swoje i głowę smutnie pochylił, bo go nie chciano uszanować, a na ramionach płaszcze, ładownice i różne ryszunki wojenne pozawieszano“. A genjusz biały twarz sobie szatą zaslonił i artysta już patrzeć nie chce. Uchodzi. Dość tych strasznych wizji, dość okropności.

Ale ponad temi okropnościami jest Bóg; i tego Boga, Boga sprawiedliwości, kreśli artysta-wędrowiec, gdy, siadłszy w samotnej pracowni, myśli swoje na obraz przenosi. „O ludzkości! ty rodzie Kaina!“

Czyż można opisać ten poemat w obrazach? trzeba by było na to poety miary równej Grottgerowi. I może nigdy bardziej nie był ten cykl mówiącym, jak dziś. Któż jest, kto go nie zrozumie, nie odczuje? Któż jest, kto nie powtórzy dziś: „Ludzkości! ty rodzie Kaina!“

Praca nad „Wojną“, rachując i porębskie czasy, skąd pochodzi kilka ukończonych kartonów, trwała około dziewięciu miesięcy; ale wszakże w tym czasie robił i inne rzeczy, choćby tylko w czasach paryskich ów „Pochód na Sybir“. A ileż rysunków robionych dla zarobku. Przecież żyć było trzeba. I dziwnie szła praca nad tem ostatniem, wielkiem dziełem. O ile do innych kartonów robił dużo szkiców przygotowa-

czych, o tyle do „Wojny“ nie robił ich wcale prawie. Wszystkie obrazy stawały mu gotowe w wyobraźni. I studjów jest też bardzo niewiele. Rysował najwidoczniej odrazu na kartonach, posługując się modelem żywym przy wykończaniu, pozując nierzadko sam sobie. Grottger często umieszczał siebie w swoich obrazach. Czemu tak było? Czy przypiszemy mu pretensjonalność, samouwielbienie? Bynajmniej? Kto sam rysuje, ten wie, jak trudno jest nieraz o ruch właściwy, trudniej jeszcze o wyraz, jakiego się potrzebuje, jaki się czuje, i że żaden model go nie da, że gdyby artysta mógł sam sobie pozować do wszystkich postaci, byłoby to dla niego ogromnem ułatwieniem, bo on każdy ruch, każdy wyraz czuje w sobie.

Istnieje portrecik ciekawy, robiony ręką Marcelego Krajewskiego, ostatni wizerunek Grottgera, który niewątpliwie zrobiony był dla użytkowania go w przedostatnim obrazie „Wojny“. Grottger sam pozował dla wydobycia ruchu artysty-wędrowca, zakrywającego twarz ręką w zbeszczeszczonym kościele.

Wiadomo zresztą, iż pierwszą jego myślą było artyście-wędrownikowi nadać swoje rysy—co też zrobił. Przed samem ostatecznem ukończeniem cyklu, w maju, odwiedził go jeden z malarzy paryskich i ostro zganił ten pomysł i „Wojnę“ wogóle. „Tak okropnie ją skrytykował—pisze Grottger—że kocie twoje ledwie się nie przewróciło ze strachu i, co być mogło, nie wyrzuciło go za drzwi“. Niemniej zarzut pretensjonalności zabolął go, gdyż nie było w nim tego uczucia. Cóż tedy robi? Oto zamyka się w pracowni, nie wychodząc prawie przez dni kilka, przerabia głowę artysty, zacierając swoje rysy i typ głowy. Można sobie

wyobrazić, z jaką furją musiał przeprowadzać te poprawki, nie wypływające z jego głębokiego przekonania i chęci.

W końcu maja kończy „Wojnę“; czas dać ją na doroczną wystawę paryską. I znów fatalność! Niema środków na zakupienie szkła i ram; trzeba czekać, zdobywać pieniądze. „Lituania“, wystawiona w Paryżu, nie znajduje nabywcy. Wszystko idzie jak z kamienia, i „Wojna“ zjawia się na wystawie o kilka tygodni spóźniona; już pierwsze fale zwiedzających i znawców przepłynęły przez salon doroczny i cykl nie budzi już tego zainteresowania, jakie był powinien. Fatalność! A warta była uwagi. Nigdzie jeszcze genjusz Grottgera nie wystąpił z taką siłą, nigdzie nie wzniósł się on tak wysoko w samem wykonaniu. Nigdzie grupy postaci nie wiążą się tak prosto i jasno; tak nic tam niema zbyt czystego, zaciemniającego wyrazistość kompozycji. I tak jak wszystkie wielkie dzieła zdaje się być wykończoną lekko, bez trudu; i tak jak wszystkie wielkie dzieła kosztowała Grottgera wiele pracy i wysiłków. Ileż razy pisze: „wszystko starłem“, „zacząłem na nowo“. Ile razy szarpie się w niepewności, czy to, co daje, to już naprawdę wszystko, co dać może.

I stargał w tej walce siły tak fizyczne, jak i moralne. Ukończył „Wojnę“, dobiegł kresu; zabrakło podniety, niema codziennej troski i myśli o niej. „Wojnę“ przestałem już kochać—pisze—odkąd przestała być jedyną nadzieją moją; nie dziw, że dla niej zubożyłem“. Jakże częste w pracy artystycznej to zniechęcenie do własnego dzieła, wtedy, gdy się je odda ludziom, gdy przestaje być wyłączną własnością autora, a staje się cudzem, ludzkim, obcem już...

Coś się zaczyna psuć i rozpręgać w jasnej, pogodnej naturze Grottgera. Siły fizyczne nie dopisują, skarży się na

osłabienie, bezsenność, budzi „potem obłany“, a twarz ma „białą, jak alabaster...“ Złowrogie widmo wypełzło znowu.

Gdybyż się była znalazła ręka „jakaś jasna, jakaś mocna!..“ Nie znalazła się. Musiał pozostać w Paryżu, o którym mówi, iż „jest mi tak nieznośnym, że, gdybym mógł, tobym stąd zaraz uciekł“. A tu trzeba żyć i na to życie zarobić, pracować—póki lampa nie zgaśnie.

Jedyną jego rozrywką i pociechą w tych ciężkich chwilach jest muzyka. Słucha gry Wł. Żeleńskiego i ks. Marceliny Czartoryskiej i pod jej wpływem powstaje obraz p. t. „Muzyka“, a przedstawia młodą dziewczynę w białych powiewnych szatach, grającą. Prócz tej pracy jest jeszcze i „Biedna muzykantka“, rzewny, poetyczny obrazek; dziewczuszka mała, w nędznej odzieży, ze skrzypcami i oczyma, patrzącemi błagalnie wprost na widza. Była i jakaś Cyganka, grająca na skrzypcach; oddana do oprawy stała parę tygodni w oknie sklepu. „Przez cały dzień tłum przechodzący oblegał wystawę sklepową“, przyglądał się, podziwiał, „oderwać się od niej nie mógł i stał przykuty tą potęgą, która tryskała z obrazu“<sup>1)</sup>. Cena jednego z tych dzieł opłaciła koszt ram do „Wojny“.

Jest i szereg portrecików, robionych z niezwykłą wprawą i szybkością. Oto siedzi sobie w gronie towarzyskiem, pijąc herbatę, pałac i rozmawiając wesolo, a ręka pewna, jak ręka biegłego muzyka, nieomylna, każdym prawie dotknięciem dobywa ton właściwy, pierwej wyczuty niż pomyślany. „Więc pięć portrecików zrobiłem w czterech dniach ostatnich“—pisze i zapewnia, że mógłby ich zrobić 365 w ciągu roku.

---

<sup>1)</sup> Amborski.



Było to istotnie wirtuozostwo rzadkie w sztuce rysowniczej.

Jest w Wersalu pod Paryżem posąg w białym marmurze kuty, przedstawiający ostatnie chwile Napoleona I. Siedzi on sam w fotelu, bezsilny już, ze swoją twarzą orła i oczyma, dziwnymi oczyma, które patrzą w przeszłość, czy w siebie, czy może w wieczność. Takie „grottgerowskie“ oczyma ten biały Napoleon i kto wie, czy nie dla tych dziwnych oczu wziął go sobie Grottger za treść do swojego ostatniego — tak, ostatniego — kartonu. Około posagu krąży publiczność, widzowie różni, kobiety i dzieci, żuawi i starzy weterani napoleońscy, i patrzą na „swojego cesarza“, jedni z zadumą, drudzy z powagą i przejęciem, inni ze łzą w oku. Spętany orzeł!

Poza tem cóż jeszcze? Już tak niewiele! Jeszcze jakieś rozpaczliwe zrywanie się, projekty pracy zarobkowej w postaci albumu wystawy dorocznej. Jeszcze w paru rysunkach jakieś wołanie tęskne ku Polsce w tych trzech pastuszkach na wygonie, okrytych workami, kiedy deszcz mży zwolna, zwolna, a niebo takie senne, szare... i w tych rusińskich młodociach, kopiających kartofle w jesienny, słoneczny dzień.

W niedospane noce, pełne gorączkowych widzeń, w poranki, gdy w zimnych potach sił zbywał do ostatka, we dnie, pełne codziennych udręczeń, przenosi „swoją duszę utęsknioną do tych pól malowanych zbożem rozmaitem“—do Polski—do Niej!...

Odchodził. We wrześniu przyszedł krwotok, trwający trzy dni. Czy trzeba szukać przyczyny? Jakoby zmienne jesien-

ne pogody, jakoby zgrzany chorą piersią przylgnął do marmurowego kominka, jakoby list jakiś, który wstrząsnął nim do głębi. A wreszcie — wszystko jedno. Gasł, odchodził. „Mojej lampy życia już nie widzę“.

Sztuka, sława, służba dla kraju, cały ogrom pracy. Starczyło tego na śmierć, nie starczyło na życie, na tę odrobinę własnego szczęścia, do którego dziś jeszcze, bezsilny, z twarzą „białą, jak alabaster“ napróżno wyciąga ręce. A siły uchodzą.

„Wtorek rano — pisze we wrześnie do narzeczonej — byłem bardzo chory, ale dzięki Bogu niebezpieczeństwa niema. Twoje kocie jest słabsze od komara“. Jest przytem chory ciężko na duszy. Próżno przyjaciele, nieodstępny Marceli Krajewski, starają się podtrzymać w nim ducha. Wszystko nadaremnie. Ostatnie niepowodzenia zatrwały mu duszę jadem zwątpienia, wszystkie rachuby zawiodły.

„Spochmurniało dawniej tak jasne i pogodne niebo nad światem moich myśli“. Przyszłość, do której dążył najcudniejszą drogą pracy niezmordowanej i ofiary swego talentu, staje przed nim ciemna i głucha. W tym szalonym, tragicznym wyścigu z losem czuje, iż jest pokonanym. A sił uchodzących nie ma podtrzymywać za co. Zasoby się wyczerpały, pracować już nie może. Próżno Krajewski stara się zbyć cośkolwiek z prac pozostałych w tekach. Wszystko zawodzi. A wokoło obcy kraj, obcy ludzie...

W październiku kilka chwil jaśniejszych. Matejko, obecny wówczas w Paryżu, odwiedza kilkakrotnie chorego. Tchnienie z kraju... wspomnienia starego Krakowa... Gdzie one chłopięce swawole, one wieczorynki z kolegami?... Gdzie ów „Acio“ wesoly, ufny, gdzie dwór ottyniowiecki?



BIEDNA MUZYKANTKA.



ARTICLE IN PRESS

gdzie Lwów kochany, „ciocia Olesia“, gdzie towarzysze młodości?

„Hej, jak daleko, daleko nasza miła Polska!“

A sił coraz mniej.

W pierwszych dniach listopada cesarz austriacki Franciszek Józef nabywa „Wojnę“ za 8,000 franków i uwozi do zamku swego Gödöllö na Węgrzech. Uśmiech losu, który przyszedł zapóźno!

Niestrudzony Krajewski wywozi Artura do Pau, miejscowości na południu Francji. Czas też to był ostatni. „Była już fatalna chwila w ostatnich dniach przed wyjazdem do Pau—pisze Krajewski.—Doktorowie wątpili, czy dojedzie na miejsce, a jechać trzeba było koniecznie“. I wyjechali. Zmiana miejsca, powietrze, któż wie? A gdybyż jeszcze obecność tej, do której uparcie, rozpaczliwie, zwraca się myśl chorego. Píše zaniepokojony przyjaciel, wzywa, prosi—trzeba mu kochającej ręki, a może wtedy...

Ci, co stoją najbliżej, najdłużej się ludzą. Żadna na świecie ręka nie mogła go już dźwignąć z przepaści, w którą się staczał, zawrócić z drogi, którą odchodził w wieczny cień. A wreszcie nie było tej ręki i nikt nie śpieszył.

W końcu listopada śle Grottger ostatni list do narzeczonej; spodziewa się, iż gdy doleci do niej, spadnie jej na serce, jak ptak żaloby.—„Płaczesz! płaczesz, moje biedactwo? Nie płacz, bo w samej rzeczy niema czego. Kończę, bo ręka w żaden sposób iść—dalej—nie—chce“.

„Tymczasem choroba się wzmagala; na początku grudnia trzeba było wyjechać dalej na południe, do Amélie les Bains. Podróż ta trwała pół dnia; śnieg padał, a wicher dał tak silnie, że wyrwał z wagonu latarnię.

Na trzeci dzień po przybyciu na nowe miejsce pobytu nie mógł już łyżki utrzymać w osłabłej ręce; nogi zaczęły mu puchnąć. Odtąd już nie łudził się.

— Zobaczysz, Marcelu—mówił do przyjaciela—że ja wkrótce klapnę.

Przejrzawszy się w zwierciadło zawołał nie bez uczucia przełknięcia:

— Wyglądam, jakbym wyszedł z trumny; niedługo też do niej wejde.

Przytem ciągle się troskał, że swoją śmiercią nabawi towarzysza „porządnego kłopotu“. Podtrzymywała go jeszcze nadzieja ujrzenia narzeczonej. Ostatnich listów od niej już sam czytać nie mógł, ani ich Krajewskiemu czytać nie pozwolił.

— Nie rozpieczętuj, nie czytaj—mówił—bo dałem słowo mojej pannusi nie czytania nikomu jej listów...“<sup>1)</sup>

Dnia 13 grudnia usnął późno. „Jeszcze o czwartej rano mówiłem do niego—pisze Krajewski—następnie uciszył się i zasnął. Później wstając podać mu lekarstwo, budzę go—on nic nie odpowiada; biorę za rękę—martwa; otwieram okiennice i widzę go bladego jak ściana, z twarzą suchą, a zwykle rano był kroplami ściekającego potu obłany...“ „nie widzę najmniejszego poruszenia piersi, ani oddechu...“

Stało się to najstraszniejsze i nieodwołalne.

W zimnym, hotelowym pokoju nikt z „najdroższych na świecie osób“ nie położył mu ręki na stygnącym sercu. U „nieplakanej trumny“ stanęła jeno Sława i ta za nim poszła.

1) Kantecki.

Tak mu było zapisane w losach— wziąć w siebie wszystkie bóle narodu, wyspiewać pieśń nieśmiertelną i ledz, jak dzwon rozbity...

Żyć nadzieją i stracić ją.

Żyć miłością i nie zaznać jej.

„I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odłata“.

We dwa lata później zwłoki Artura Grottera zostały staniem narzeczonej sprowadzone do kraju i pochowane we Lwowie, na cmentarzu Łyczakowskim.

KONIEC.



INSTYTUT  
 BADAŃ LITERACKICH PA  
 BIBLIOTEKA

00-200 Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel. 26-68-63



# „KSIĘGARNIA LUDOWA”

JULJI SIKORSKIEJ

WARSZAWA

WARECKA 14

*poleca ostatnie nowości*

**CZERWIŃSKA A.**

M. f.

PIĘTNAŚCIE LAT ROSJI W POLSCE 1815—1830 . . . . .	—90
O SEJMIE WIELKIM I KONSTYTUCJI 3-go MAJA (Odczyt) . . . . .	—20
O NACZELNIKU KOŚCIUSZCE (Odczyt) . . . . .	—40
NOC 29-go LISTOPADA 1830 R. W WARSZAWIE (Odczyt) . . . . .	—50

**GERSON-DĄBROWSKA M.**

ARTUR GROTTGER (Odczyt) . . . . .	—
ZA CO? OBRAZEK Z ŻYCIA UNITÓW . . . . .	—40
RACŁAWICKIE KOSY (OBRAZ SCENICZNY) . . . . .	1.80
WYBRANIECKIE ZUCHY (OBRAZ SCENICZNY Z CZASÓW STE- FANA BATOREGO) . . . . .	1.20

**JEZIERSKI E.**

BOHATER WOLI — JÓZEF SOWIŃSKI . . . . .	1.20
---	------

**KOSMOWSKA I.**

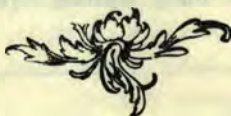
POLSKA PIEŚŃ WOLNOŚCI W EPOCE POROZBIOROWEJ . . . . .	1.60
---	------

**MARJA JANINA.**

O SZYMONIE KONARSKIM . . . . .	—80
--------------------------------	-----

**MARCINOWSKA J.**

ROK 1863 . . . . .	—85
BARTOSZ GŁOWACKI — OBRAZ SCENICZNY . . . . .	1.15
ZA WOLNOŚĆ LUDU — OBRAZ DRAMATYCZNY Z CZASÓW POWSTANIA 1863 R. . . . .	—85
LEGJONIŚCI — OBRAZ SCENICZNY . . . . .	1.20











F

23.254